MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 43 WARSZAWA, 17 PAŹDZIERNIKA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

POLSKA A NIEMCY

FORMALNĄ podstawę dzisiejszych stosunków pomiędzy Polską a Niemcami stanowi pakt dwustronny, zawarty przez te państwa w d. 26 stycznia 1934 r.

Celem tego paktu było utrzymanie i utrwalenie pokoju między obu państwami, a przez to stworzenie warunków pokoju dla całej Europy. Polska i Niemcy miały się odtąd porozumiewać bezpośrednio we wszystkich sprawach je obchodzących, a kwestie sporne, o ileby się wyłoniły, zobowiązały się załatwiać w sposób pokojowy i w żadnym razie nie stosować przemocy.

Z postanowień tego układu wyjęte są zagadnienia, które zgodnie z prawem międzynarodowym uznane są za sprawy wewnętrzne każdego z państw kontraktujących. Dodajmy wreszcie, że układ ten, mający stworzyć dobre sąsiedzkie współżycie zawarty został na lat dziesięć z możnością przedłużenia go na dalszy okres czasu.

Zawarcie paktu tego przyjęliśmy do wiadomości z prawdziwym zadowoleniem. Zawsze lepiej jest mieć bodaj na papierze, bodaj na dziesięć lat zapowiedź pokoju, niż wiszącą ciągle nad głowami groźbę wojny.

Po za tym, przy ocenie intencji strony niemieckiej, a nietylko formalnej wartości podpisu na akcie dyplomatycznym, można było przyjść do wniosku, że istotnie nie leżało w interesie ani Hitlera, ani hitleryzmu, ani Rzeszy Niemieckiej wywołanie, przynajmniej na razie, wojny z Polską. Dalej wreszcie można było rozważać sobie pytanie, czy kierunek nieuniknionej ekspansji niemieckiej, bądź chwilowej; czy tysiącletni *„Drang nach Osten"* nie stał się może zamkniętą kartą historii.

Nie możemy tutaj zagłębiać się w te sprawy. Przypomnijmy tylko, że r. 1934 był okresem największego nasilenia prób Berlina zrobienia *Anschluss*'u z Austrią, prób, które doprowadziły do zamordowania austriackiego kanclerza Dolfussa, i które zostały udaremnione dzięki energicznej postawie i mobilizacyjnym zarządzeniom Mussoliniego Były więc podstawy do przypuszczenia, że Hitler wybiera sobie drogę południowo-wschodnią, naddunajską, a nie wschodnią, czyli polską.

Tak czy inaczej, faktem jest, że pakt ze stycznia 1934 r. dawał Polsce *respiro* przynajmniej na czas pewien.

Ale, gdybyśmy byli nawet bezwzględnie pewni tego dziesięciolecia, gwarantującego pokój, to co dalej? Nic nie jest wieczne na tej ziemi — ani najżarliwsza przyjaźń, ani kierunek polityki, ani życie człowieka czy istnienie ustroju państwowego. Toteż obowiązkiem przewidującej polityki jest zabezpieczenie się na wypadek zmiany warunków, które spowodowały zawarcie pokojowego układu dyplomatyczuego. Toteż dla Polski pakt ze stycznia 1934 r. przedstawia, naszym zdaniem, istotną wartość o tyle, o ile potrafimy w przewidzianym okresie „dobrych" stosunków tak wzmóc swoje siły i utrwalić swoją pozycję na naszych ziemiach, objętych pożądliwością niemiecką, ażeby znikła realna podstawa do wytaczania pretensyj i sporów. Zadanie to wkracza w dziedzinę polityki wewnętrznej, bo chodzi tu o terytoria polskie i będące pod polskim zwierzchnictwem. Polityka zagraniczna musi jednak być w ścisłym związku z ogólną polityką danego państwa, gdyż inaczej najlepsza nawet dyplomacja nie osiągnęłaby zamierzonych skutków.

To jest zatem obowiązek Polski, o ile chce ona prowadzić naprawdę własną, niezależną politykę zewnętrzną. Co do Niemiec, położenie ich jest dużo bezpieczniejsze od naszego. Polska nie uprawiała *„Drang nach Westen“*, lecz niestety cofała się przed niemieckim *„Drang nach Osten“* i cofnęła się do takich granic, od których nie może już, ani chce odstąpić. Polska, odbudowana po wojnie światowej, nie wytaczała Niemcom pretensyj terytorialnych tak, jak wytaczano je nam ze strony niemieckiej. A że siła i spoistość Niemiec, szczególniej dzisiejszych—hitlerowskich, jest niewątpliwie większa od siły i spoistości naszego państwa, przeto obawa zmian, jakie mogłyby nastąpić po pokojowym dziesięcioleciu ma niewątpliwie mniejsze znaczenie dla Rzeszy jak dla Polski.

To powiedziawszy, popatrzmy jak się przedstawia dotychczasowy, prawie czteroletni bilans poczynań obu partnerów paktu w dziedzinie zabezpieczenia sobie przyszłości. Nie będziemy tutaj wchodzili w szczegóły, cytowali cyfr i faktów, stale omawianych w prasie i coraz jaśniej ilustrujących obustronną postawę. Chodzi tu o wynik ogólny, o porównawcze zestawienie.

A więc przede wszystkim stwierdzić musimy wielką aktywność strony niemieckiej. Poza ogólnymi zbrojeniami Rzesza Niemiecka umacnia usilnie swoje granice wschodnie przez osadzanie na pograniczu pewnego i uświadomionego żywiołu niemieckiego oraz przez germanizowanie różnymi sposobami osiadłej tam ludności polskiej. Ale i poza granicami, na terytorium Polski, głównie na ziemiach naszych zachodnich, czuć się daje wszędzie oko i rękę Berlina. Stamtąd płynie dla naszych Niemców pomoc i opieka, choć pakt polsko-niemiecki zastrzega nie mieszanie się do spraw wewnętrznych drugiego państwa.

A w Gdańsku? Z wolnego miasta, wchodzącego do obszaru celnego Polski i podległego kierownictwu i protekcji państwa polskiego, Niemcy chcą koniecznie przeobrazić Gdańsk w państewko, mogące samo stanowić o swoich losach, a więc „wrócić” do Rzeszy Niemiekiej.

A czym na to odpowiada Polska? Co czyni, aby utrzymać i wzmocnić polskość, aby osłabić potęgujący się rozwój niemczyzny na swoich własnych ziemiach, aby uratować od germanizacji milionową ludność polską, żyjącą na swoich śmieciach w Rzeszy Niemieckiej? Jak stara się o to, aby odrobić popełnione błędy w sprawie Gdańska, aby przywrócić i wzmocnić stanowisko swoje w Gdańsku, do którego ma prawo na podstawie historii i z mocy traktatowych postanowień?

Niestety, trudno dać na to odpowiedź pozytywną i zadowalającą. Może i są jakie wysiłki, ale muszą być za słabe, skoro są niewidoczne. Protestami dyplomatycznymi, ani uprzejmością, rachującą na wzajemność, sprawy się nie rozwiąże. Na to trzeba dużego nakładu pracy i pieniędzy. Trzeba, aby ludność polska zamieszkała na zagrożonych terenach zachodnich, jak również i na ziemiach wschodnich (bo i tam sięgają wpływy niemieckie) miała pełne zaufanie do polityki swego rządu, skutecznie chroniącej Polskę przed grożącymi jej niebezpieczeństwami.

Trzeba wreszcie, ażeby silnym i spoistym Niemcom dzisiejszym Polska przeciwstawiła nieustępliwy, zwarty i rozumiejący swoje historyczne zadania naród polski.

JOACHIM BARTOSZEWICZ

NACJONALIZM IDEOLOGII RICHELIEU'GO

KARDYNAŁ Armand du Plessis de Richelieu, miał już licznych biografów. Subtelny i wykwintny autor książek wykazujących niezależność i przenikliwość jego poglądów, hr. Saint-Aulaire, w swojem studium o wielkim kardynale przedstawił sylwetkę tego największego zapewne francuskiego męża stanu biorąc pod uwagę te punkty widzenia, które dotąd albo wcale nie były uwzględniane, albo oświetlane w niewłaściwy sposób.

W „Talleyrandzie” najlepiej uwydatniła się wielka zdolność Saint-Aulaire'a do charakteryzowania wielkich karier, pochodu *per ardua ad astra*, dlatego zapewne, że całe życie Talleyranda było poświęcone robieniu kariery lub naprawianiu jej. Życie Richelieu'go nie było tak pozałamywane, charakter jego był inny niż księcia de Talleyrand-Périgord, który umiał po stracie razem z mitrą biskupią tego pierwszego tytułu zostać księciem Benewentu i ministrem cesarskim, co jeszcze nie zakończyło jego politycznej wędrówki. Kardynał de Richelieu mógł przez całe życie być tym, kim zrobiło go urodzenie—biskupem w Luçon, odległej od politycznego centrum diecezji. Jednak okazało się, że synteza krwi wielkiej szlachty feudalnej (babka z domu Rochechouart) i burżuazji intelektualnej (matka z domu La Porte, córka adwokata z prow. Poitou) dała skrzydła do wielkiego lotu, nietylko potężne ambicje, ale także gienialne uzdolnienia. Armand de Richielieu chciał zająć wybitne stanowisko w kraju i przygotowywał się do tego; uczyły go jednocześnie wydarzenia dotykające losów jego rodziny, prowincji i Francji, jak również gruntowne studium teoretyczne; pochodzenie i droga polityczna ojca, który sprowadził Henryka III z Polski, był jednym z pierwszych kawalerów orderu Św. Ducha i umarł w obozie jako jeden z wodzów Henryka IV, wskazały Armandowi de Richelieu zasadnicze rysy linii politycznej, której stał się najwybitniejszym przedstawicielem. Bezwzględna lojalność dla tronu, pojętego jako symbol narodu i konieczny organ jednoczącego naród państwa była inspirowana Riche-

lieu'mu przez tradycję rodzinną; pod tym względem, życie Richelieu'go przedstawia analogię z życiem innego wielkiego ministra tradycyjnej monarchii — Metternicha.

Mając przed sobą od wczesnej młodości jasno określony cel życia publicznego i ambicję, Richelieu przystosował się jednak do sytuacji chcąc odegrać rolę, do której czuł powołanie i do której się przygotował. Za życia Henryka IV było trochę trudno zająć wybitniejsze stanowisko, gdyż król otoczony był towarzyszami dawnych bojów i współpracownikami z pierwszych lat panowania. Nagła śmierć Henryka IV przyspieszyła karierę polityczną Richelieu'go, który od roku 1614, w którym został wybrany do krótkotrwałych Stanów Generalnych, stał się jednym z doradców królowej-regentki, Marii de Médicis. Zdobywszy zaufanie wpływowej żony marszałka d'Ancre (Conciniego) został Richelieu ministrem, ale nieoględnie uczynił, nie licząc się z młodym królem. Po zomordowaniu Concini'ego musiał Richelieu przetasować swoje karty i bardzo zręcznie się zachowywać aby mieć w dalszym ciągu przed sobą te perespektywy, które otwierały się przed nim za czasów Regentki, wreszcie trzecia śmierć, która usunęła z przed Ludwika XIII jego głównego doradcę, księcia de Luynes, dała Richelieu'mu dostęp do władzy i zaufanie monarchy, okupione nienawiścią Marii de Medicis. Richelieu chiał służyć państwu i kiedy się okazało, że Maria de Medicis władzy używa na korzyść osób ze swego otoczenia i, tembardziej, gdy władzy została pozbawiona, wówczas kardynał przeszedł do naturalnego ośrodka autorytetu, do króla.

Nie tylko za życia Richelieu'go, ale nawet jeszcze teraz robione mu są zarzuty z powodu walki z protestantyzmem francuskim i popierania protestantów w Niemczech. Tymczasem było to postępowanie bardzo logiczne, wyłącznie polityczne. Protestanci francuscy byli elementem sprzymierzającym się z zagranicą i narzucającym fundamentalne prawa królestwa; z drugiej strony t. zw. „Trzydziestoletnia wojna" w Niemczech nie była w gruncie rzeczy wojną religijną, lecz polityczną między usamodzielniającymi się książętami i centralizującym Habsburgiem. Książęta niemieccy usamodzielnili się przy pomocy protestantyzmu, a cesarz chciał poddać sobie cały Reich jako obrońca katolicyzmu. Sait-Aulaire bardzo słusznie wykazuje płytkość poglądów Belloc'a, angielsko-francuskiugo biografa Richelieu'go, który w imię katolicyzmu jako takiego atakuje Richelieu'go i staje po stronie habsburgskich cesarzy. Polityka Richelieu'go nie była jednak wcale egoistyczno-państwowa; wielki kardynał miał ogólny światopogląd moralno-polityczny, który wyrażał się w postulacie równowagi odpowiadającym dobrze rozumianej zasadzie narodowości. Richelieu z wielką ostrożnością powiększał terytorium państwa, był przeciwnikiem imperializmu zadawalającego się powiększaniem terenu władztwa.

Międzynarodowa polityka kardynała była ideologiczna, bo jej myśli prawdziwe opierały się na takim światopoglądzie nacjonalistycznym, jaki mógł istnieć w jego czasach. Nie chciał brać Richelieu udziału w wojnie Trzydziestoletniej ani jako przedstawiciel obozu katolickiego, ani jako pomocnik imperializmu państwowego Habsburgów; linia polityczna wielkiego kardynała była jednakowa wówczas gdy zwalczał hugonotów francuskich, jak gdy tworzył koalicje przeciw cesarzowi Ferdynandowi: zawsze chodziło Richelieu'mu o zwalczanie sił kosmopolitycznych i internacjonalnych, usiłujących stłumić aspiracje wyrosłych w średniowieczu i rozwiniętych za czasów renesansu osobowości narodowych i państwowych.

Belloc oskarża Richelieu'go jednocześnie o imperializm. Saint - Aulaire udawadnia niedorzeczność takich oskarżeń. Przede wszystkim imperializm i nacjonalizm są to ideologie sobie przeciwstawne. „Imperium, stwierdza Saint-Aulaire, to zapanowanie jednego państwa nad innymi z wolą narzucenia im swojej kultury i swoich praw: to ideał germański. Naród to dążenie do stworzenia lub utrzymania własnego państwa niezależnego bez naruszenia niepodległości innych państw.

Pojęcie narodu, które za *ancien regime'u* wyrażało królestwo, było uznane za wyższe od pojęcia imperium". Podkreśla także Saint-Aulaire nielogiczność stanowiska Belloc'a, który stanął po stronie Habsburgów reprezentujących imperializm. Nie zgadza się także Saint-Aulaire z Belloc'iem, gdy ostatni porównywa Bismarka z kardynałem Richelieu. Zdaniem Belloc'a obaj ci mężowie stanu służyli tym samym ideałom.

Stwierdziwszy w wyżej przytoczonych zdaniach, że wywołujący wojny imperializm jest antytezą pokojowego i realizującego nie system hegemonii lecz równowagi nacjonalizmu, Saint-Aulaire wskazuje na przeciwieństwo metod i celów Bismarka: Richelieu'go. Wprawdzie obaj dokonywali dzieła zjednoczenia swoich narodów, ale Bismark chciał uczynić Niemcy państwem imperialistycznem i posiadającym hegemonię, zaś Richelieu dążył do pokojowego współżycia państw opartego na systemie równowagi; Richelieu zjednywał Francję kończąc wielowiekową pracę dynastii Kapetyngów i jej wielkich ministrów, osiągał to zjednoczenie przy pomocy sił wewnętrznych samej Francji, a tymczasem Bismark korzystał z szaleństw W. rewolucji francuskiej i Napoleona, oraz z wielkich błędów II-go cesarstwa.

Jak mętne są poglądy Belloc'a na skutki polityki wielkiego kardynała, tego najlepszym dowodem oskarżenie przezeń Richelieu'go o pośrednie sprowokowanie wojen wielkorewolucyjnych i napoleońskich, które zdaniem Belloc'a dokończały imperialistyczno - nacjonalistycznego dzieła kardynała. Saint - Aulaire z usprawiedliwionem oburzeniem odpowiada: „Rewolucja była wybuchem nie nacjonalizmu, lecz fanatyzmu. To był Islam ideologiczny pochodzenia głównie cudzoziemskiego. To imperializm *rousseau'izmu*, którego Mahomet, Jan-Jakub Rousseau umarł na pomieszanie zmysłów. Richelieu miałby do tego wstręt".

Polemika Saint - Aulaire'a z Belloc'iem jest bardzo zasadnicza i pouczająca. Belloc rzuca gromy na Richelieu'go za to, że ostatecznie nie dopuścił do odrodzenia się Kosmopolisu reprezentowanego przez Habsburgów, którzy posiłkując się katolicyzmem podjęli przedchrześcijańskie jeszcze a potem średniowieczne ideały zarazem jednoczące ludzkość i niwelujące osobowości narodowo - państwowe. Belloc nie rozumiejąc, że Kosmopolis nie służyłby katolicyzmowi, lecz używał go, wini Richelieu'go za wszystkie klęski Francji i Europy wynikłe z rzekomego podporządkowania religii ojczyźnie. Saint - Aulaire konstantuje, że państwo światowe, prawowite dwa tysiące lat temu dla

ucywilizowania i pacyfikacji barbarzyńskich ludów byłoby teraz jedynie objawem gigantycznego żarłoctwa, byłoby polipem, którego macki wzajemnie by się rozszarpywały, mnożąc się.

Podział świata chrześcijańskiego na ojczyzny jest warunkiem postępu ludzkości. Imperialistyczna, kosmopolityczna niwelacja zniszczyłaby cenne i rzadkie ziarna i kwiaty życia duchowego i materialnego, które rodząc się w oddzielnych ojczyznach, stają się jednak, w granicach nieszkodzących istnieniu odrębnych indywidualności zbiorowych, dobrem wspólnem całego świata. Podział jest zarówno warunkiem bezpieczeństwa jak postępu, bez wyłączenia jedności tam gdzie jest ona możliwa i dobroczynna. „Okręt, który niesie naszą cywilizację, pisze Saint-Aulaire, unika rozbicia z powodu przegród, które go dzielą ponad powierzchnią wody, pozostając jednocześnie otwarte dla koniecznego porozumiewania się". Richelieu był głosicielem tego konstruktywnego programu polityki międzynarodowej, który chce bezkompromisowo i na zawsze utrzymać byt państw jako politycznych reprezentacji narodów i właśnie dla osiągnięcia tego celu ogranicza ekspansję potępiając szowinizm i imperializm. Studium Saint-Aulaire'a o kardynale Richelieu ma tą wielką zaletę, że na tle polityki tego znakomitego męża stanu wyjaśnia różnicę między kierunkami internacjonalnymi i kosmopolitycznymi a uniwersalizmem i odgradza ideologię nacjonalistyczną od sprzecznego z istotą nacjonalizmu imperializmu i szowinizmu. [1]).

LESZEK GEMBARZEWSKI

---

[1]) Hr. de Saint-Aulaire — Richelieu, *coll. Les constructeurs, éd Dunod, Paris.*

OBSZARY WSCHODU

I

PRZESTRZENIE lądowe ogromne i nieogarnione, ciągnące się na wschód od nas słusznie mogą być nazwane bezgranicznemi. Nie dlatego, żeby największy obszar kontynentalny świata, obszar Eurazji nie miał swoich krańców, swych kresów, lecz dla tego, że granice te są jakby nieuchwytne. Wyraźne na mapie są one zupełnie nieokreślone dla autochtonów i wędrownych mieszkańców tych lądowych obszarów. Każdy kto dotknie stopą tej ziemi, a tym bardziej jeśli w niej zrodził się i mieszka i tuła się nieskończonym łańcuchem pokoleń, nosi niejako w sobie, w swych piersiach i swej świadomości p o c z u c i e t e j b e z g r a n i c z n o ś c i. Step i las. Nieogarnione i nieprzeniknione przestrzenie tajgi, która znowu stopniowo niknie w niemniej bezgranicznych przestrzeniach przemarzłej tundry, aż do jakichś nieznanych pól śniegowych i zwałów lodowych. Step i step,—potem pustynia i znowu step, w tem ogromnych gór łańcuchy i twierdze niebosiężne i „dachy świata", — a nadewszystko ziemia, ląd bezkresny, władczy ląd.

Ten fakt b e z g r a n i c z n e j p r z e s t r z e n i l ą d o w e j, ten widok, to jej poczucie, jest najbardziej uderzającym, a zarazem panującym czynnikiem w życiu i psychice mnogich ludowisk snujących się po obszarach azjatyckiego śródlądzia. Poczucie i świadomość bezgraniczności, które nosi w piersiach i umyśle swoim azjata, ma ogromne znaczenie dla jego psychiki indywidualnej i społecznej dla jego życia rodzinnego, społecznego i państwowego. Rzec można, iż tu wszystko się kształtuje pod wpływem tego poczucia. Cały tok rozwoju tych ludów, ich formowania się zbiorowego, ich przeszłości, teraźniejszości i jeszcze w znacznym stopniu przyszłości jest zależnym od tej bezgraniczności, jej uroku i mocy wsysającej,— razem z powstałą stąd r o z l e w n o ś c i ą ż y c i a. A czynniki te oddziaływały i oddziaływują przez nieskończony łańcuch stuleci ciągle, bez przerwy do ostatnich czasów z jednostajną niezmiennością, a i dziś jeszcze mimo komunikacji kolejowej i lotniczej prawie niezmiennie.

Zupełnie innym jest Zachód z jego określonymi i zdecydowanymi granicami lądów i mórz z jego pociętą, żywą, wyraźną linją obramień, gdzie zdecydowanie stykają się dwa odmienne przeciwstawne żywioły, — z jego właściwościami uzdalniającymi do koncentracji—rzeczywistego ześrodkowania. — Tu bezgranicznym staje się tylko obszar morza—ocean. Ląd jest ograniczony, ściśle określony w sobie ześrodkowany.

Znamienną jest rzeczą, że dla dawnych Hellenów mimo śródlądowości ich morza świat był wyspą oblaną dookoła oceanem, wyspą, w której głąb wdzierają się zatoki tego oceanu, jako morza wewnętrzne. Takim był świat dla Homera, i takim dla szerzej patrzącego Hezjoda.

Zupełnie inaczej sprawa się układa w pojęciu śródlądowych azjatów, nawet słowiańskiego pochodzenia. Głęboko mi tkwią w pamięci wyjaśnienia piastunki sybiraczki, kiedy jako dziecko gorąco pragnąłem wiedzieć czem jest świat i jaki jego obszar. W opowieści tej rodowitej mieszkanki Azji świat jest jak stół, równy, ogromny obszar lądu z wyskakującymi tu i ówdzie górami, poprzerzynany wspaniałemi rzekami, a wszędzie las i step. Granic niema, — roztapiają się one w „niebie". Na północy śniegi i lody, na południu i wkoło pustynie i skały. O morzu, ani słowa,—ocean nie istnieje. Owszem dla Buriata istnieje morze śródlądowe, a tem morzem jest święte jezioro—Bajkał. Pacyfiki, ocean Lodowaty to tylko droga do nieba, stapianie się widnokręgu z firmamentem. Nade wszystkim panuje ląd,—jego bezbrzeżne obszary.

„Dokąd idziesz stryjku?" (*Kuda diadia*?) pytam sybiraka, który rzuca swą gospodarkę i zabiera się do wędrówki. „Dokąd oczy poniosą. Ho, ho nasza Sybir ogromna, granic jej nie ma. Może w tajgę na łowy, może w step do tatarów, może w góry po złoto.—Gdzie Bóg da, tam będę. Przestrzeń rozkosz". (*Prostor błagodat'*).

Tak, przestrzeń rozkosz. Ma ona dziwny urok. Te obszary nieogarnione ciągną. Pierś szeroko, swobodnie oddycha, wzrok pomyka do coraz to nowych bezbrzeży. Trójka koni mknie szybko w dzień i w noc, tarantas skacze i pędzi jamszczyk od czasu do czasu pokrzykuje przeciągle, śpiewnie, a dzwonek u obłęku (*duha*) brzmi i jęczy i echem się rozbija o milczące ściany zwartej tajgi

Rzeki rozlewne potężne zdają się wznosić pierś swoją wodną jakimś spokojnym, tytanicznym oddechem i mkną tak nieskończenie w ocean tajemniczy i nieznany, jak nieskończenie pędzą konie, mijają dnie i noce i snują się krajobrazy o wielkich rozciągłych zarysach. Pełnowodna Ob' której brzegów zaledwie wzrok sięga, majestatyczna wspaniała Joanesi (Jenisej) i „święty" Bajkał i surowa Lena i potężny Amur. Gąszcz leśna żywiczna i wonna, tchnąca w słońcu jak kadzielnica przed czemś niedosięgłem i nieznanem,—to znowu otulona puchem śniegów, ścięta mrozem tak krzepkim, że oddech w szron zamarza. Albo rozłogi stepu równe i falujące pod niebem rozsłonecznionem, lub ugwieźdżonem, biegnące na skalną twierdzę Karkorały lub wyniosły, mocarny Ałtaj, —i dalej,—dalej, aż w „głodne stepy" i piaszczyste „burchany" pustyni.

Dalej... i dalej... bezkresna przyroda potężna, wspaniała, wolna od granic ciasnych nawołuje i wabi nawet ciszą swoją, — ciągnie nieprzełamanie... wsysa...— Tak, obszary wschodu wsysają istotę ludzką. To jest rozkosz przestrzeni.

Jakże małym, jak znikomo małym i ciasnym jest Zachód, z krajami ograniczonymi, zamkniętymi w sobie, czy przez morza, czy łańcuchy górskie skupionemi około rzeczek i rzek, z których największa, zaledwie znaczącym dopływem mogłaby być rwących mocarzy azjatyckich. Ten Zachód o kraikach takich jak Czechy, które car Mikołaj Pawłowicz jednym palcem na mapie zakrywał.

Zachód i Wschód to dwa odrębne światy, — dwa światy przestrzeni i przyrody i ducha i kultury, życia indywidualnego i społecznego i narodowego.

Na rozgraniczu tych dwuch światów jesteśmy my.

Na skraju bezgranicznych obszarów Wschodu jako ostatnią placówkę i twierdzę Zachodu postawiła nas Opatrzność Boża.

Dla tego to dla nas ludzi Zachodu jest rzeczą niezmiernej wagi badać, czem jest Wschód i jakie czynniki go kształtują. Ten Wschód, z którego niejednokrotnie wyrajały się hordy najezdnicze — i dziś jeszcze wyroić się mogą, — bo dziś bardziej niż kiedykolwiek ukazują swoje groźne, tajemnicze, anarchiczno-despotyczne oblicze.

Twierdzę, że głównym czynnikiem kształtującym Rosję i Wschód zauralski jest obszar bezgranicznych przestrzeni lądowych.

Rzecz naturalna, nie mówię tu o najdalszym azjatyckim wschodzie, o Japonii, tym kraju wyspiarskim i oceanicznym. Dla Japonii my, narody Zachodu jesteśmy bliżsi. aniżeli Rosja, albo Mongołowie a nawet Chiny, mimo, iż te właśnie dały swoją prastarą cywilizację i kulturę krainie Wschodzącego Słońca. Tej bliższości naturalnej warunków geograficznych i rozwojowych (Japonia nie uległa przygniatającemu ciężarowi kontynentu azjatyckiego i najazdom mongolskim, tak jak Rosja i Chiny), zawdzięcza skoncentrowany i czynny naród łatwość przyjęcia wpływów Europy.

Że przestrzeń jest dominującym czynnikiem w dziejach Rosji i jej duszy, jej życia i kultury, zaświadcza bieg minionych stuleci i przeszłość niedawna i teraźniejszość, jej literatura i sztuka, życie rodzinne, społeczne i państwowe tak odmienne od wzgardą przez nią napiętnowanego „zgniłego Zachodu".

Profesor przedwojenny Uniwersytetu Moskiewskiego, historyk wybitny Kluczewskoj, stwierdził, że znamieniem dziejów rosyjskich i życia rosyjskiego jest: koczownictwo. W wywodach i przykładach swego „Kursu historii Rosyjskiej" stwierdził to tak dobitnie i jasno, że nie może powstać najmniejsza wątpliwość co do słuszności tego spostrzeżenia.

Rosja przeduralska i zauralska zasadniczo rozpada się na dwie olbrzymie połacie równoleżnikowe, na Rosję leśną (*Rosija tajożnaja*) i na Rosję stepową (południową). Od wieków, może tysiącleci, nieomal geologicznych, toczyła się i toczy w przyrodzie walka tych dwu połaci. Step atakuje las, niszczy i wypiera go, — posuwa się ku północy.

Urocze „kołki" (gaje) brzozowe stepów omskich są szczątkami lasu, który zwartą masą sięgał znacznie dalej na południe. Człowiek zresztą walnie przyczynia się do trzebieży leśnej, współdziałając z suszącemi zmianami klimatu.

Równoiegle z tą walką przyrody, a być może i w zależności od niej toczy się walka plemion i ludów leśnych i stepowych. Zrazu step atakuje i zwycięża, masą swoich mongolskich koczowników. Potem przechodzą do ataku ludzie leśni, słowianie zmieszani z finnami, zdyscyplinowani przez normandzktch warego-rusów, wyszkoleni przez samych Mongołów. Atakuje Ruś Zaleską— Moskwa. I rok za rokiem, wiek za wiekiem przechyla się szala zwycięstwa na jej stronę. A walka ta się odbywa na bezgranicznych przestrzeniach, na połamanym i porwanym froncie ogromu Eurazji lądowej.

Mimo tej ustawicznej walki, której zresztą jak każdej dziejowej walce towarzyszy stałe wzajemoddziaływanie i przesiąkanie kultur, zarówno ludy stepowe jak i leśne ulegają czynnikowi przestrzeni bezgranicznej jednako. Na południu koczownik-pastuch snujący się ze swemi stadami, nieustannie zmienia miejsce swego pobytu, na północy łowca, włóczęga puszcz, lub rolnik prowadzący gospodarkę ekstenzywną, z łatwością rzucający swój zagon, aby się chwycić nowej połaci ziemi, której zasoby są nieobliczalne. Zrazu idzie lasem,—potem się wrzyna w czarnoziemny step, garnąc go w miarę jak jego carowie leśni biją carów stepowych i rozszerzają swoje dzierżawy.

Jaka ogromna różnica pomiędzy przywiązaniem do zagonu ojczystego kmiecia polskiego, a nonszalancją w stosunku do własnej ziemi, której zresztą chciwy jest niemniej od naszego, mużyka rosyjskiego. Chłop rosyjski jak i inteligent rosyjski przywiązany jest do ziemi wogóle, mistycznie przywiązany do olbrzymich jej obszarów, lecz nie do własnego zagona. Chłop rosyjski trzyma się ziemi, wysysa ją, ale też łatwo zmienia miejsce, snuje się po niej, koczuje. Z łatwością staje się włóczęgą (*skitalec*). Stale i ciągle ciągną się na wschód i ciągle na wschód... Przestrzeń ciągnie—wchłania krociowe rzesze pokoleń całych jednego, po drugim.

Brak granic określonych, zdecydowanych, przy nadmiarze obszarów, łatwość przesuwania się wytwarza rozlewność działania i życia, rozlewność uczuć myśli i woli. Rozlewność życia rodzinnego i społecznego.

Znamieniem życia rosyjskiego jest

brak naturalnej, organicznej koncentracji, ześrodkowania od wnętrza.

Roman Dmowski w jubileuszowym zeszycie dziesięciolecia „Przeglądu Wszechpolskiego" (1905) podał głębokie spostrzeżenie i określenie, że narody zachodu i wschodu w życiu społecznym i państwowym, w swej ewolucji ustrojowej zasadniczo się różnią. Społeczeństwa zachodu rozwijają się organicznie od wnętrza, narastając tak jak narastają warstwy drzewne, drzew dwuliściennych w kołach współśrodkowych. Społeczeństwa Wschodu ujęte są od zewnątrz i rosną tak jak palmy (jednoliścienne) bez warstw koncentrycznych, gdzie wiązki włókienno-naczynne rozrzucone są w tkance komórkowej bez hierarchicznego narastania.

To zestawienie polityka, socjologa, a zarazem przyrodnika jest znakomite, to analogia uderzająco prawdziwa.

Tak jest,—ale dla czego? Dla czego inaczej było w Grecji, Rzymie, na Zachodzie, a inaczej na Wschodzie?—Jakie czynniki tu działały?

W stosunku do centralnej Azji i Rosji, czynnikiem tym w pierwszym rzędzie niezawodnie jest przestrzeń, te bezgraniczne mało zróżniczkowane na dużych terenach obszary. Rozlewność, swoboda ruchów luźnych, tułaczych i koczowniczych, nie pozwalała zawiązać się ośrodkom małym, ale ujętym w granice określone, przytwierdzonym do gruntu, zdolnym we wzajemnym współzawodnictwie rozwijać się od wnętrza, wytwarzać zwarte życie rodzinne, społeczne i państwowe. (Z innego powodu, ale podobnie zahamowały swój rozwój stare cywilizacje wielkich zlewisk rzecznych—dziś już zresztą nieaktualnych).

Na to żeby powstało zwarte masowe działanie, żeby wytworzyło się państwo, potrzeba było siły narzuconej zzewnątrz, energii despotycznej, któraby zgarnęła cały ten szwendający się luz i ujęła w karby mocne postrachem i urokiem potęgi ponad wolą jednostek i gromad. Tak powstawały potęgi Dżyngischana i Tamerlana. Potęgi ogromne, ale czasowe, bo nieorganiczne. Potęgi te rozsypywały się ponownie w luz gdy zabrakło władzy bezwzględnie despotycznej.

Warunki przestrzenne Rosji nie sprzyjały organicznemu rozwojowi od wnętrza, to też plemiona Słowian wschodnich, według charakterystycznej legendy t. zw. Nestora, skwapliwie przyjęły władcze drużyny Warego-Rusów.

Na terenie Rosji rozpoczął się eksperyment państwowy Normandzki, który przez parę stuleci na swój sposób rozwijał się świetnie. Kiedy jednak żywioł Skandynawski całkowicie wsiąkł w grunt słowiański i jego obszary po Włodzimierzu Monomachu, zdawać się mogło, że Słowianie wschodni będą teraz już kontynuować dzieło swych władców i organizatorów na własny, rodzimy sposób. Jednak w okresie dzielnicowym dwie okoliczności przeszkodziły rodzimemu uorganicznieniu rozwoju społecznego i państwowego. Przestrzeń bezgranicznie stale ciągnęła. Posuwano się w głąb leśnej Czudi, tworzyły się nowe księstwa na nowych terenach, mieszano się z plemionami fińskimi, o stabilizacji mowy być nie mogło. Nadomiar religię i kulturę przyjęto na nieszczęście dla tych Słowian nie z Zachodu rzymsko-katolickiego, a a Bizancjum, otrzymując wszystkie właściwości tej „uschłej gałęzi Kościoła".

Zanim mogło się coś wyłonić, coś okrzepnąć w organiczny zawiązek rozwoju, step ruszył do ataku, nawała mongolska spadła i pokonała Ruś. Rozpoczął się okres jarzma mongolskiego. Step-Wschód samowolnie gospodarował wśród ugiętych księstw, szczepił swoją kulturę azjatyckich koczowników. I tak to trwało, aż do czasu, kiedy się rozpadła siła tatarskich hord. Ruś się wyzwalała z jarzma, jako Ruś Zaleska, jako Moskwa już w nowej postaci nawskroś przesiąkłej duchem stepu azjatyckiego.

(D. n.) LUDOMIŁ SZRENIAWA-CZERNIEWSKI

SIGRIDA UNDSET W ŻYCIU I LITERATURZE

Od jednego z uczestników wycieczki do Norwegii uzyskaliśmy poniższą relację z wizyty, jaką złożył znakomitej pisarce norweskiej. *Red.*

ZBYT MAŁO znamy Norwegię, jej zasady etyczne i literaturę. Nie umiałbym nazwać znajomością przedmiotu obserwacji poczynionych przez turystę podczas dorocznych wycieczek morskich na fiordy. Zwłaszcza jeśli idzie o Norwegię, te powszechne wrażenia okazują się zazwyczaj błędne. W żadnym innym kraju teoria przyczynowości Taine'a nie znajduje wyraźniejszego potwierdzenia niż tam, na skalistych fiordach. Odbicie surowej przyrody wprost nie wytwarza specjalnego typu literatury. Te właściwości przyrody norweskiej znalazły już wyraz w charakterze mieszkańców. Bezkompromisowość w poglądach etycznych, hart ducha i przedziwna obojętność na wrażenia z zewnątrz płynące — oto kilka cech zasadniczych duszy norweskiej.

Jedno z codziennych powiedzeń *„ta de met rö"* („dajcie nam spokój") wyraża w sobie nie tyle egoizm, ile samowystarczalność, kryje się w tych słowach również wiara we własne siły i zasoby moralne. Niedostępne szlaki górskie wyrobiły snać u Norwega poczucie bezpieczeństwa i wynikający z niego spokój o polityczne jutro kraju. Wreszcie świeżość wrażeń, z tejży przyrody płynących zespoliła się z wrodzoną uczciwością Skandynawów dając w sumie tak rzadko dzisiaj spotykany wysoki poziom etyczny społeczeństwa. Jest to bezsprzecznie jedno z pierwszych wrażeń, jakie odnoszę z bezpośredniego obcowania z Norwegami.

Cały ten daleki kraj przedstawia pasmo wodne, otoczone skałami. Tysiace wysp granitowych bronią go przed zalewem Atlantyku. Dookoła — fiordy, wrzynaiące się głęboko w ląd — poematy barw w tylu różnych odcieniach.

Hasdangerfiord jest najbardziej majestatyczny ze swoim niemal pionowym cokołem skalnym, u stóp którego rozsiadły się wielobarwne lasy iglaste. Wydaje się on w słońcu jakąś fantastyczną bajką — postrzępione brzegi grożą nam ostrymi szczelinami. Szmaragdowo zielone strumienie tworzą w Dolinie Siedmiu Sióstr istny cud przyrody. Bardziej na północ, na Nordfiordzie wabi

nas gama barw listowia aż wreszcie w strefie Wysp Niedźwiedzich i na Szpicbergu panują już jedynie dwa żywioły — wiekuiste śniegi i stalowy pancerz skał.

Oto jest w sentetycznym ujęciu koloryt, jaki odbija w sobie twórczość Edwarda Griega czy Sigridy Undset.

Wie o tym każdy Norweg, że siedziba wielkiej powieściopisarki leży w zacisznym Lillchammer, na połowie drogi od Oslo do Królewskiego Trondhjemmu. Tu pogrążona w pracy twórczej unika autorka „Krystyny" wszelkiego kontaktu z ludźmi. Dwa, bliźniaczo do siebie podobne domki zbudowane w chłopskim stylu staronorweskim otoczone są tajemniczością, która — muszę to przyznać — była mi jednym z bodźców do odwiedzenia pracowni wielkiej pisarki.

Były zresztą i inne w postaci swoistej literatury tego kraju. Zbliżając się wartkim pociągiem kolei górskiej ku Lillehammer sięgnąłem myślą wstecz ku czasom Holberga. Stanęły mi przed oczyma wyobraźni sylwetki dawnych pisarzów protestanckich: poety Johanna Wesela i pastora Dassa.

Te naiwne lecz jakże pełne liryzmu poezje XVIII-go stulecia odbijają w sobie podobnie do współczesnych — surowość przyrody. A dalej — wielki w dziejach Norwegii rok 1814, otwierający jej okres wyzwolenia politycznego i jednocześnie rozkwitu piśmiennictwa.

Posągowe postaci Wergelanda, Björnsterne-Björnsona i Ibsena mówią same za siebie. Z tej wielkiej trójcy najmniej znany jest u nas Wergeland. Jego szczytny romantyzm wielokrotnie wychodził poza granice wspomnianego indyferentyzmu politycznego Norwegów. Mało komu wiadomo, że Wergeland i Lie byli jedynymi w Skandynawii piewcami polskich powstań 1830 i 63-go roku. Słynne sonety o walkach naszych z przed stu lat znane mi jedynie z przekładów przemawiają mocniej i bezpośredniej niż żywe pamiątki polskie.

Zerwanie unii z Danią i założenie własnej stolicy — Christianii (dziś — Oslo) spowodowało, że druga połowa XIX stulecia obfituje w szereg dzieł wyrażonych już w „nowym" języku norweskim. Język ten, zwany *landsmaalem* kształtuje się, krzepnie i otrzymuje niebawem prawa obywatelstwa na równi z dawnym, duńskim.

Znając popularnego essaystę z lat ostatnich, Vinjego łatwo się można przekonać, jak szybko nastąpiło przeobrażenie językowe. Wreszcie do łańcucha pisarzów współczesnych przybywa po Kiellandzie i Björnstonie — pierwsze pióro kobiece.

Te refleksje towarzyszyły mi w kilkugodzinnej podróży do Lillehammer. Poznanie jednego z najznakomitszych ogniw tego łańcucha — oto był cel mojej inwazji do zacisznej siedziby Undset. Historia literatury norweskiej skończyła się dla mnie w chwili, kiedy przemówiła rzeczywistość.

W gabinecie - pracowni, wpośród rozrzuconych bezładnie foliałów, różnych zwitków i notatek u stóp wielkiego weneckiego okna zasiedliśmy w godzinę później do dłuższej, niż się tego mogłem spodziewać, pogawędki.

Wyniosła, o mocno już siwiejących włosach pisarka oddziaływa od pierwszej chwili jakąś wewnętrzną potęgę skupienia. W dużych, czarnych źrenicach patrzących na mnie, a w istocie zapatrzonych w dolinę Lillehammer, którą widać było jak na dłoni przez szybę lustrzaną okna, żarzy się ogień czynu. Wszystko w tym pokoju bezładem swoim mówi mi o pracy gorączkowej, nie dającej możności do uporządkowania materiałów. Duże, ale kształtne ręce spoczywają na zimnej skórze fotela.. Jestem tak onieśmielony, że poprostu zapominam o szeregu kolejnych pytań, jakie opracowałem sobie w podróży.

Zwolna, po długiej pauzie, pada na mnie zamyślony wzrok pisarki. Dowiaduję się, że nie byłbym nigdy przyjęty, gdyby nie to, że przybywam z dalekiej, lecz bliskiej sercu pani Undset Polski, z Polski Katolickiej, której jeszcze nie zna osobiście, ale dokąd wybiera się w roku bieżącym.

Wiedziałem skądinąd o wielkiej przemianie, jaką przeżyła pisarka przed kilku laty. O ofierze z osobistego swojego szczęścia, jaką złożyła bez wahań na ołtarzu Wiary. Do niedawna protestantka, przeszła Undset na Katolicyzm, stając się nie tylko *pro forma*, lecz z najgłębszego przekonania wyznawczynią Rzymu. Rozstanie z mężem, konieczne dla uzyskania akcesu do Kościoła, zerwanie wszystkich więzów łączących ją do niedawna z protestantyzmem — oto zaledwie kilka faktów, zbliżonych do tego niezwykłego w czasach dzisiejszych nawrócenia. Byłoby rzeczą nie do pomyślenia dotykać tych bolesnych przeżyć. Mówiliśmy więc na razie o Polsce i jej literaturze. Sigrida Undset orientuje się dobrze w naszym piśmiennictwie powojennym. Zna dzieła Goetla, Ossendowskiego, Makuszyńskiego i z najmłodszych Iwaszkiewicza. Interesuje się Polską Akademią Literatury i wybitniejszymi jej członkami. Wyrażam Jej w międzyczasie swój pogląd na swoisty czar przyrody norweskiej, który dawno już znalazł stylizowane acz wierne odbicie w jednej z najpierwszych książek Undset — dziejach „Krystyny", I spodziewałem się, żo usłyszę od Niej jeżeli nie ciekawe dane autobiograficzne, to przynajmniej rzut oka na dotychczasową linię twórczości. Rzecz naprawdę osobliwa: Undset ani razu w czasie naszej długiej rozmowy nie użyła zaimka „ja". Uchylała każde moje zapytanie, odnoszące się do literatury. Zrobiła jedynie wyjątek, opowiadając mi o pierwszych krokach w literaturze, o dziejach Krystyny, córki Lavrence'a, studiowanych tu, w Lillehammer na tle przyrody, w muzeum etnograficznym d-ra Sendviga, gdzie, wpośród przeniesionych z najodleglejszych zakątków Norwegii chat i zabytków architektonicznych, zagłębiała się pisarka w dzieje minionych stuleci.

Tu również, w zaciszu bliźniaczych domków, w których zamieszkuje, przyszły na świat „Opowieści norweskie", szereg tłumaczeń i w końcu jako odbicie niedawnego nawrócenia — rozpoczęty ostatnio cykl powieści. Tu nadszedł przełom, prowadzący w logicznej konsekwencji do przyjęcia katolicyzmu i wyrzeczenia się dotychczasowych poglądów na świat i życie.

Tu zamyślone oczy Sigridy nabierają blasku, jaki zauważyłem już w pierwszej chwili po przekroczeniu jej pracowni. Idąc w ślad za nimi spoglądam na przeciwległą ścianę pokoju, na oświetlony przez zachodzące właśnie słońce hebanowy symbol Ukrzyżowanego.

Przechodzimy na tematy religijne. Teraz dopiero dowiaduje się rzeczy dla mnie niezwykłych. Całą swoją obecną twórczość oddaje Undset wyłącznie sprawie apostolstwa. — „Uwieńczeniem pracy mojego życia, mówi — mi, będzie praca nad rekatolizacją Norwegii. Kilkadziesiąt tysięcy wyz-

nawców Rzymu musi uróść conajmniej dziesięciokrotnie. Oto jest obecnie jedyny cel życia. Z tych słów bije niezmierna siła woli i wiara w nieśmiertelność Sprawy. Kto wie, może cel ten zostanie osiągnięty, gdyż niezwykła poczytność wielkiej pisarki granicy w Norwegii z uwielbieniem.

Jest to naprawdę człowiek niezwykły o kryształowym charakterze i — olbrzymim talencie pisarskim. A te atuty mogą zdziałać wiele, bardzo wiele.

Za chwilę oglądam w wielkiej sali recepcyjnej prowizoryczną kaplicę, w której co tydzień jeden z ojców misjonarzy odprawia Mszę św. Jak za czasów apostolskich przybywają wówczas do Lillehammer łodzie i szkunery rybackie nieraz z odległych okolic, wiozące tłumy wiernych.

Mistycyzm idzie ku mnie z tych nieoczekiwanych odkryć. Oddalamy się od zagadnień estetycznych, które były celem mojej rozmowy. Undset interesuje się niezmiernie polską Akcją katolicką, pyta o ideologię młodzieży akademickiej o prasę religijną. — Widzę, że te sprawy obchodzą ją bardziej od spraw piśmiennictwa.

W tej atmosferze niesposób już rozmawiać objektywnie. Czuję, że mimowiednie udziela mi się ten nastrój mistyczny, jaki krył się w wielkich, ciemnych źrenicach pisarki. Zachodzi przytem górskie słońce a wraz z nim zbliża się kres mojego pobytu w Lillehammer. Dziękuję zatem za godziny niezwykłych wzruszeń, darowanych mi hojną dłonią przez najwybitniejszą pisarkę Norwegii i zapewniam ją, że Polska oczekuje na dzieło ostatnie, które będzie odbiciem najgłębszych przeżyć autorki. Tak, Sigrida Undset jest wierną spadkobierczynią tradycji Wergelandów i Björnsonów, tylko że fundamenty na których wznosi obecnie swoje dzieła twórcze są nowe, jakże inne od dotychczasowej literatury w tym kraju.

W—b.

SONETY MIŁOSNE

NIEPEWNOŚĆ

Nie wiem, czy cię miłuję zacnie, z duszy całej,
czy pragnę cię, jak człowiek chory pragnie wody —
z ślepej żądzy, z tęsknoty krwi i ramion młodych
do twych kolan, do piersi twej chłodnej i białej.

Nie wiem, czy mi się oczy w oczach zakochały,
czy zapragnąłem duszą duchowej urody,
czy pokochałem ziemię i wiosenne gody,
czy tchnienie Bóstwa w tobie, czy grzech swego szału,

A piękność twoja—czy jest z tej cudownej siły,
co świat zapładnia duchem, blaskiem, majestatem —
czy jesteś życiem życia, czy kuszącym kwiatem,

uroczym, ale w rdzeniu kielicha przegniłym
i czy kocham to twoje zabójcze zarzewie,
czy blask, zapalający życie—nie wiem, nie wiem...

NIEUFNOŚĆ

Poprzez me oczy patrzysz w świat—i jeszcze dalej...
Czy myślisz o mnie? Kochasz? Nigdy tego sama
nie powiedziałaś—nigdy. Chcesz, bym ci połamał
żebra w uścisku, bym cię do krwi kąsał w szale...

Tak. Pozwalasz się kochać. Nie płakałaś wcale —
uległaś łatwo, kiedy świętokradzki zamach
sponiewierał twą godność. Byłaś taka sama,
jak teraz, gdy się modlę do ciebie i żalę.

I nic ode mnie nie chcesz, tak, jak bym nic nie mógł
godnego pożądania dać życiu twojemu
prócz pieszczoty, co tylko rozpala ci ciało,

oprócz nowego życia, o które się boję,
że nie dlatego będziesz je kochać, że moje
i łączy nas—ale że będzie rozdzielało.

TAJEMNICA

Ja czuję w sobie siły zbuntowanego anioła,
a w tobie jest cisza matki, czującej łaskę: *Ave...*
ja jestem nosiciel ognia, do skały przykuty krwawej—
tyś mchem dla moich członków, rosą dla ust i czoła.

Jest we mnie coś z furii Szawła i z wiary apostoła,
walczę, jak żagiew płonąca, padam, jak gnój pod uprawę—
ty—jesteś Maria z Magdali i masz ręce łaskawe
i Bóg przez oczy twe patrzy i przez usta twe, milcząc,
[woła...

A gdy ja się trudzę i łamię i dźwigam się własną
[mocą —
ty jesteś, jak świętość — bezbronna, jak Bóstwo — nie-
[zdobyta,
ty jesteś świata światłością, co sama nie wie, że świta—
i budzisz trawiące pragnienie—i sama nie wiesz poco...

I nigdy mi nie powiesz — czemu, jak cud mnie za-
[chwyca
i pali, jak sumienie—ta twoja tajemnica...

ROZDŹWIĘK

Nie mogę objąć cię całej, nie mogę cię całej pojąć.
Jesteś przedziwnym — ziemskim, a pełnym ducha ży-
[wiołem;
idziesz tam, gdzie ja idę — na ręce, jak dziecko cię
[wziąłem —
jak dziecko przymknęłaś oczy i mówisz, że jesteś moją.

Jesteśmy dwoje w jedności. Życie tworzymy społem.
Przy tobie otucha powraca i rany cudownie się goją—
czarodziejko ty z baśni—patrz, oto ręką twoją
zaczarowane żywioły służą i biją ci czołem...

Ale kiedy ja śnię, byśmy poszli krwią płacić za ogień
[dla ludzi,
ty mówisz: ja jestem ogniem i rodzę najżywsze życie
i kładziesz mi ręce na oczach, żebym się przestał trudzić
boś ty jest odkupienie i zmartwychwstanie i przyjście...

Żyj, kochaj!...
I gardzisz mym męstwem i znowu nie chcesz
[być moją —
nie mogę cię objąć całej, nie mogę cię całej pojąć.

TADEUSZ DWORAK

NA WIDOWNI

Głos akademika Goetla w sprawie prezesa Sieroszewskiego. — Jakiemu „reżimowi” podlega Akademia Literatury? — Nikt się nie dziwi Sieroszewskiemu, wszyscy się dziwią Akademii. — Prawo integralności i totalizmu. — Trzeba wiedzieć, w jakim kościele dzwonią.

NIE WIDUJĘ „Gazety Polskiej”, odkąd dziennik ten odmówił nam zaszczytu otrzymywania egzemplarza zamiennego. Taki był „reżim” w czasie, kiedy się to stało — kompromitował wszelki kontakt z wszelką myślą narodową. Nie znam tedy w całości artykułu członka Akademii Literatury p. Ferdynanda Goetla, który w „Gazecie Polskiej” wystąpił przeciwko K. H. Rostworowskiemu w obronie prezesa Akademii Sieroszewskiego. Starczą mi jednak niektóre ustępy tego artykułu, przytoczone w przeglądzie prasy innych dzienników.

Uderzające jest to w zachowaniu się Goetla, że wstępując w szranki przywdział jako zbroję — uniform „reżimu”.

„Z jednej strony — pisze Goetel — występuje stary Sirko, radykał spod znaku Legionów, dziś niejako c z ł o w i e k r e ż i m u, z drugiej Rostworowski, pisarz Polski katolickiej i prawie że rzecznik opozycji”.

Nie powiem, żeby takie oświetlenie sprawy było przemyślane. „Reżim” nie był bynajmniej za takim rozwiązaniem konfliktu wawelskiego, jakie proponował w swym słynnym liście prezes Akademii. Opozycyjności swojej wobec postępku „Sirki” Rostworowski się nie powstydzi, ale czy zgodzi się na to jakikolwiek „reżim” w Polsce, aby Akademia Literatury ustalała, że „pisarz Polski katolickiej” jest z zasady „prawie że rzecznikiem opozycji”?

Nie ma potrzeby czytać dalej p. Goetla. Takie na początku złożenie się piórem w rycerskiej rozprawie dyskwalifikuje go jako fechmistrza i — co ważniejsza — jako rzecznika korporacji literackiej.

Tak, literatura narodu w swojej całości jest pewnego rodzaju instytucją, a literaci — korporacją. I tu trzeba wyjaśnić mniej kulturalnym literatom, którzy sobie tego nie uświadamiają, że jakakolwiek byłaby geneza Akademii Literatury musimy się z nią liczyć jako z organem reprezentacyjnym polskiej literatury. Leży ona na osi moralnej struktury społeczeństwa i jakiekolwiek odchylenie od tej osi m u s i b y ć przez samo życie wyprostowane. Dopóki to nie nastąpi, między społeczeństwem i Akademią trwać będzie konflikt. Prezes Akademii nie może się powoływać na swój rzekomy autorytet polityczny, on musi ściśle odpowiadać warunkom, jakie mu stawia konstytucja moralna instytucji, noszącej miano „Literatura Polska”.

Jej reżim jest starszy, niż jakikolwiek przygodny. Wiele było przygód w dziejach Polski, ale literatura polska zawsze była wierna duszy narodu. Od Długosza poprzez wieki do Żeromskiego, do Rostworowskiego zawsze odnajdywała swój pion w trosce o dobro narodu i swój rytm w tętnie życia narodowego. Reprezentacja jej zawsze była obywatelska, nigdy — koniunkturalna. Akademie nie są u nas pierwszyzną. Na czele ich stali zawsze ludzie aprobowani przez opinię publiczną, nawet gdy to były akademie naukowe. Cóż mówić o akademii literatury, skoro w tym zawodzie istotą współzawodnictwa o wawrzyn jest osiągnięcie kongenialności z narodem.

— — — — — — — — — — — —

Pan Goetel obrał szczególny sposób bronienia złej pozycji, wyraża mianowicie zdziwienie, że Rostworowski się dziwi postępkowi Sieroszewskiego. Sieroszewski bowiem zawsze był taki sam:

„Sposób jego — Rostworowskiego wystąpienia — pisze Goetel — zdradza pełne oburzenia zdziwienie ...jak gdyby Sieroszewski ujawnił swój krewki radykalizm dopiero oświadczeniem w sprawie wawelskiej! Wszyscyśmy sądzili, że przez całe swe długie życie robił rzeczy podobne, o których świadczą jego książki, jego pełna przygody działalność rewolucyjna, żołnierska, obywatelska. Rostworowski jednak nie wiedział. Wybierał Sieroszewskiego na prezesa Akademii, pozostawał w niej kilka lat i... nie wiedział. Dopiero to oświadczenie uprzytomniło mu kim jest stary Sirko”.

Przecież nie o to chodzi, czym był Sieroszewski jako człowiek prywatny; chodzi o to, czym ma być jako prezes Akademii, czy jest tutaj na swoim miejscu. Wiadomo, że był w stylu p. Janusza Jędrzejewicza. Ale z upadkiem tego męża stanu i on powinien był ustąpić. Gdy klamka odpadła, to co tu gadać teraz o reżimie! Trzeba się orientować choćby według zasad prostej przyzwoitości.

Znamy Sieroszewskiego i nie dziwi nas nic, co on robi. Zawsze miał jakiś reżim nad sobą i przegorliwie go wykonywał, nie rozumiejąc co robi. Potrafił głosić hasła niepodległości (państwowej), a jednocześnie tłumaczył robotnikom, że „państwo” jest pojęciem zdrożnym, bo sam wyraz ma w źródłosłowie pojęcie „pana” i „panowania”. Jako akademik pozostaje pod reżimem hasła, że tylko „państwo”. Jak wtedy nic nie rozumiał, tak i teraz. A to nie jest kwalifikacja na prezesa Akademii.

Wolno być oczywiście radykałem, ale radykalizm można szanować o tyle, o ile nie jest zaprzeczeniem zdrowego sensu, poczucia etycznego i zasad obywatelskich. Nie należy wybryków podawać za radykalizm. Żeromski opowiadał mi wiele o czasach rewolucji 1905 i 1906 roku, ale z najwyższym niesmakiem mówił o projekcie wylęgłym w głowach rewolucjonistów żydowskich, aby pewnej nocy „zlikwidować” głównych właścicieli przemysłu łódzkiego. Sieroszewski użalał się płaczliwie przed kolegą, że Piłsudski sprzeciwił się temu tak prostemu pomysłowi.

Przytaczam ten szczegół p. Goetlowi na dowód, że znamy p. Sieroszewskiego. I właśnie dla tego, że znamy, domagać się musimy uregulowania stosunków w Akademii.

A tytuł naszego prawa interwencji jest jasny— starałem się go wyżej uzasadnić. Akademia musi być arką przymierza czasów nowych literatury z czasami dawniejszymi i musi być w tym duchu narodowym przekształcona.

Ma być teraz zasilona nowymi członkami. Czy godzi się stawiać literatów w tak kłopotliwej pozycji, aby ich wstąpienie było równoznaczne z akcesem do „reżimu” p. Sieroszewskiego, o którym

nikt nie może wiedzieć, co jutro zrobi, kogo zapragnie aresztować, kogo wawrzynem nagrodzić?

— — — — — — — — — — — — —

Przy tej smutnie groteskowej sposobności pozwolę sobie na uwagę ogólną.

Goetel, szukający swej racji w reżimie, nie zdaje sobie sprawy z faktu, jaki zaszedł w wieku XX, polegającego na wyklarowaniu się świadomości nacjonalistycznej. Literatura polska na całej przestrzeni swych dziejów pracowała w tym kierunku, aby wreszcie naród — jak zapowiedział przed stu laty Mochnacki — uznał siebie w swoim jestestwie. Pod tym hasłem literatura w XIX w. sprawowała skutecznie rządy dusz i ocaliła z rozbicia jaźń narodu. Jeżeli potrafiła przezwyciężyć rozkład w wieku ubiegłym, miotanym tylu sprzecznymi prądami, jakie wywołał liberalizm wielkiej rewolucji, to dzisiaj już jest za późno imaginować sobie, że polska opinia publiczna uzna literaturę za jakąś oderwaną od życia narodu zabawę talencików, instytucję zaś literacką, przez państwo kreowaną dla całego kraju, za przybytek ludzi wyróżnionych w jakiejś przygodnej konjukturze. Wogóle bowiem spóźnione są usiłowania, gorączkowo teraz podejmowane, oddzielania literatury od życia. W to już dzisiaj nikt serio myślący nie uwierzy, że literatura ma przywilej zakładania odrębnego dla siebie świata, że dusza pisarza wyłączona jest z pod kontroli, że wartości utworu podlegają tylko kryteriom formalizmu estetycznego i t. p.

Oczywiście w świetle takiej spóźnionej doktryny inaczej wygląda Akademia literatury, niżby ją sobie wystawiał w świetle swojego dogmatu Mickiewicz, Mochnacki, czy Słowacki. A przecież były to duchy rewolucyjne.

Ja ojczyzny być muszę
Duchem, stróżem i patronem.

Ich akademia miałaby wypisaną na frontonie tę myśl Słowackiego. Gdyby obecne dogmaty literackie miały się utrzymać, gdyby talent tylko miał być legitymacją na najwyższe w kraju świeczniki, to Urke Nahalnik, czy Sergiusz Piasecki, wylegitymowani dostatecznie ze swych praw, mogliby ubiegać się o miejsce w Akademii, ale wtedy napis na gmachu musiałby inaczej być zredagowany.

Jest to jednak kierunek nie do utrzymania. Dziś myśl powszechna dąży do związania sklepienia nad głową społeczeństwa w duchu integralności psychicznej. Naród dał osobowość społeczeństwu. Śni się jakaś „totalność” mechanicznie komponowana, a to jest tylko niejasna potrzeba duszy organizowania się integralnego w duszy narodu. W czasach, gdy każdy odczuwa potrzebę dostosowania tej czy innej funkcji gospodarczej do potrzeb organizmu narodowego, jakże uzależniać życie literatury od kaprysu „reżimowego”?

Nie odmawiam nikomu patriotyzmu, ale myślę, że nie każdy wie, jak się to mówi — w którym kościele serce mu dzwoni. Jeśli w Polsce dzwonią na totalność, to jest ona jedna: całkowity człowiek, odpowiedzialny za siebie całością swoją na każdym polu. Nie trzeba wymyślać totalności zewnętrznej, mechanicznej. Z totalnych ludzi powstaje totalny naród — i to jest styl polski.

ZYGMUNT WASILEWSKI

KULTURA i WYCHOWANIE

SŁABYM punktem wielu nawet wszechstronnie opracowanych systemów pedagogicznych jest brak należytego rozwinięcia lub też całkowite nieuwzględnienie tego, co w skrócie nazwać możemy kulturą działania. Brak ten szczególnie daje się we znaki wówczas zwłaszcza, gdy obracamy się w kręgu zagadnień związanych z uspołecznieniem kultury a więc pośrednio i z wychowawczą tendencją w stosunku do społecznego obiektu uwagi.

Wychowawczy ideał pełnego człowieka ucieleśnia się w narodzie, a jego ukoronowaniem i zakończeniem jest właśnie działanie. Możnaby nawet ująć to w formułę, iż wszystkie pozostałe procesy i przedmioty kultury należy w pewien sposób traktować jako przygotowanie do tego szczytowego punktu i próby sił danej indywidualności, jaką rozwinąć ona i wykazać jest w stanie dopiero w trudnym momencie szybkiego i zdecydowanego działania.

Ten nacisk, jaki w naszej kulturze kładzie się na działanie jednostki, w dużej mierze zawdzięczamy chrześcijaństwu, które przez oparcie się na ośrodkach woli w duszy ludzkiej potrafiło przybliżyć ku ziemi błyszczące sferycznym światłem, boskie ideje. One to, odpowiedniki niejako cnót i doskonałości, znane już zdawna i wielbione w erze poprzedzającej Listy św. Pawła, teraz dopiero, w nowej, woluntarystycznej epoce przestały być wyłącznie przedmiotem objektywnego podziwu.

Zdobyczą wychowawczą tego okresu, w skali światowej oczywiście, stała się zmiana postawy w stosunku do wartości moralnych, zajęcie czynnego wobec nich stanowiska. Nie wystarcza już zachwyt nad wewnętrznem pięknem cnoty — koniecznością się staje wcielenie jej w czyn w działaniu przez wprawienie w ruch aparatu woli.

Interesuje nas teraz pytanie, w jaki sposób można osiągnąć pewność i szybkość działania. Do tego przecież sprowadza się ostatecznie należyta uprawa charakterów.

Zagadnienie to podejmuje znany pedagog niemiecki Wilhelm Flitner, którego artykuł „Nauka o losie i zadaniu człowieka” (w przekładzie) drukuje ruchliwy kwartalnik „Kultura i Wychowanie“ (rok IV—zeszyt II).

„Człowiek powinien działać dobrze w pośpiechu, wtedy, gdy znajdzie się w położeniu nieprzewidzianym i gdy nie zdaje sobie sprawy ze skutków swego postępowania“ — to prawda, ale osiągalna wówczas, gdy człowiek nosi w sobie wiedzę o tym co słuszne i co nas zwykle spotyka, gdy już przedtem, zawczasu, pragnie postępować dobrze. Spontaniczne, silne i proste działanie, zewnętrzna manifestacja t. zw. „charakteru“, rodzi się na głębokim podkładzie „wiedzy o powinnościach i losach człowieka“, zgodności konkretnej sytuacji z ogólnym pojęciem stawianych człowiekowi wymagań i żądanych powinności, wreszcie— „trwałości tego, co jest rozumne i słuszne, stwarzającej ten określony, pewny świat, w którym działamy, w którym istnieje miłość, wierność

i szczerość, w którym możemy wzajemne na siebie liczyć, jednym słowem stwarzającej pewność, ojczyznę, charakter i społeczeństwo".

Skąd teraz bierze się ten określony, pewny świat naszego działania, świat zasad moralnych i praw społecznych?

Od przewrotu w pedagogice Pestalozzi'ego nauczono się rozumieć, iż można się nauczyć żyć jedynie „w uporządkowanym, domowo-politycznym środowisku, w którym istnieją już: prawo, forma, styl, władza i przepisy, w którym zasady moralności przeżywa się zanim się je zacznie rozumieć wypowiadane w słowach i zanim się samemu nauczy je wyrażać".

Taki doskonały wzorzec dla formujących się przy pomocy wyobraźni i utrwalających w instytucjonalne przeświadczenia instynktów dało na długie lata Pismo Św., zawierające wyraźny ideał społeczno-rodzinny, dające jasną i przykładową odpowiedź na każdą wątpliwość z tej dziedziny. Świat biblijny — zarówno Starego jak i Nowego Testamentu—dopomagał chrześcijaninowi już od dzieciństwa wytworzyć kompletną wiedzę o życiu Wychodząc z przykładów jednostkowych, wspinał się on wzwyż i osiągał podstawę ogólnych założeń, na której łatwo już wznosił skomplikowaną strukturę owej wiedzy o losie i zadaniu człowieka.

W ileż trudniejszym znalazłby się położeniu, będąc zmuszonym przeżywać całą historię i stopniowy rozwój społeczny w ciągu własnego, krótkiego żywota. A przecież tylko nieliczni—wybrani mają dostęp do skarbnicy wiedzy, niewielu szczęśliwcom starczy głowy i ochoty po temu, aby zorjentować siebie i własne środowisko w czasie i przestrzeni przy pomocy przeszłych dziejów społeczeństw.

Rola Pisma Św. jest w tej sytuacji niezastąpiona. Dziś ona skurczyła się niepomiernie, stwarzając tem niczem dotychczas niepowetowaną lukę w jednostkowym i zbiorowym poczuciu i samowiedzy społecznej.

Oto jeden z ciekawszych przyczynków do wzmiankowanej psychologii działania.

ST. J.

NAUKA i LITERATURA

KSIĄŻKA O SALAZARZE

DYKTATURA portugalska w pewnym stopniu jest wzorowana na faszyzmie, ale też różni się od niego w wielu punktach, choćby i z tego względu, że umysłowość dwuch dyktatorów (Salazara i Mussoliniego) jest odmienna.

Posiadamy ciekawą książeczkę, przełożoną na język polski, informującą nas o Salazarze, dyktatorze Portugalii. Książkę tę napisał dziennikarz portugalski Antonio Ferro, zapewne z inspiracji samego Salazara, który opatrzył ją dosyć długą przedmową. (A. Ferro, „Dyktator współczesnej Portugalii—Salazar", Bibl. Polska. Warszawa 1936. Przełożył z portug. i przyp. opatrzył dr. E. Boyé).

Charakterystyczne są rozważania Salazara nad odpowiedzialnością rządu. Widać, że ta kwestia, jego, dyktatora, gnębi.

„Do jakiego punktu—powiada Salazar—rząd jest odpowiedzialny za nędzę materialną i moralną narodu, za drogę, która wskazana nie została, za gościniec, który naprawiony nie został, za źródło, którego nie skanalizowano, za szkołę, której nie otwarto, za ciężar bezpłodnej biurokracji, za tłum funkcjonariuszów państwowych i ludzi wolnych profesyj, obciążających wątłą podstawę produkcji, za chaos w administracji państwowej, za brak państwowych kredytów, za socjalne pasorzytnictwo, za brak wyższej organizacji, łączącej się z całokształtem ekonomii narodowej, za chybione rokowania traktatów, za prawo, które ogłoszone nie zostało, rozporządzenie ministerialne, którego nie podpisano, za niedbalstwo w tępieniu nadużyć, za brak opieki nad słabymi? Któż wie? Mam wrażenie, że związek między przyczyną a skutkiem jest tutaj tak bezpośredni i nieubłagany, że ofiary, nędzę i łzy narodów można odmierzać tem, co czynią lub czego nie czynią ich przywódcy".

Jasne postawienie sprawy. Ten, co bierze w swe ręce władzę, kto jest przywódcą, jest odpowiedzialny za nędzę i łzy swego narodu.

Rachunek posiadacza bądź posiadaczy władzy z narodem prędzej czy później musi zostać wyrównany. Biada dzierżycielom władzy, jeśli nędza narodów przechyli szalę.

Dzięki osobistym zaletom i talentom Salazar, wysunięty i poparty przez wojsko, osiągnął w wielu wypadkach wyniki dodatnie. Myli się wszakże, że rozwiąże wszystkie bolączki życia społecznego w obrębie państwa przez permanentną dyktaturę. Jego dyktatura, jak wszystkie dyktatury, jest wymierzona przeciwko partiom istniejącym, ale on sam jest przecie jako przywódca, emanacją pewnej grupy.

Salazar powiada, że maszyna państwowa może funkcjonować w sposób różny od wypróbowanego w ciągu wieków. Tendencją jego jest, zdaje się, żeby Portugalczycy przestali się zajmować sprawami społeczno-politycznymi, oddawszy się pracy zawodowej. Ale wszystko to już było. Salazar nic nowego nie wymyślił. W Polsce społeczeństwo jest także odsunięte od współudziału w rządzeniu, za społeczeństwo ktoś tam myśli i nim rządzi. Dyktator Salazar chciałby mieć społeczeństwo świadome i potulne, ale to jest kwadratura koła, której nikt jeszcze nie rozwiązał.

Każdy się zgodzi z Salazarem, gdy ten mówi: „Mamy przed sobą jeden cel:—podnieść godność Ojczyzny, zrealizować interes narodowy! Z drugiej strony uważamy za absurd, aby należało demoralizować po to, by się przy władzy utrzymać lub aby nie można było zorganizować państwa, nie opierając się na demoralizacji publicznej, nie korzystając z walk obywatelskich i despotyzmu".

Zapytany co myśli o komuniźmie, Salazar odrzekł, że „nie jest on niczem nowem, że żył on już w wyobraźni ludzi, w historii niektórych narodów, i że prawdopodobnie przechodzi on właśnie przez stan agonii w współczesnej swej realizacji".

Jest to dosyć powierzchowny sąd o komunizmie, którego niebezpieczeństwo bynajmniej nie maleje. Wystarczy zwrócić uwagę na rozpowszechnienie się — poza komunizmem—kultu gwałtu i przemocy, na coraz bardziej realizującą się ideę dyktatury produkcji, przyjętej nietylko w ustroju komunistycznym, na tępienie chrześcijańskiej zasady indywidualizmu i mechaniczne organizowanie społeczeństw. Wszystko to są zasady komunistyczne, gdziekolwiek się ukażą i bez względu na to pod jaką nazwą występują.

Aczkolwiek Salazar to wyczuwa, jednak nie zdaje sobie sprawy z ogromu niebezpieczeństwa rozpowszechniających się idej szatańskich mechanicznego organizowania społeczeństw.

„Dzisiaj można stwierdzić fakt niewątpliwy — powiada Salazar—że rewolucja rosyjska przez swój szeroki zakres swój gwałt i zbrodnie, które popełniła, ożywiła aż nazbyt te nurtujące świat idee, zmuszając nas przez to do kontrofen-

sywy, wynikającej z samej natury walki". Ale trudno się zgodzić z Salazarem, gdy ten powiada, że „wstrząsy od czasu do czasu są nieuniknione, tylko niech się zdarzają nie u nas, lecz u naszych sąsiadów". Jest to stanowisko krótkowzroczne, bo taki wstrząs jaki przechodzi obecnie Hiszpania, może zburzyć równowagę Portugalii.

Wstrząsy u sąsiadów bywają niebezpieczne. Komunistyczny wstrząs w Rosji rozszedł się falą po całym świecie. Bardzo charakterystycznymi jaskółkami możliwości zaburzeń w dotychczasowej równowadze Portugalii są przecie zamachy przygotowywane ostatnio na Salazara.

Co się tyczy kapitalizmu, dyktator Portugali szczerze i otwarcie mówi, że „kapitalizm powinien być przekształcony, zdyscyplinowany, wychowany w tym sensie, aby służył zbiorowości jaknajbardziej wydajnie".

Niestety nie można się domyśleć czy to ma być kapitalizm zdemokratyzowany? Boć oprócz socjalizmu podstawowego mamy też eksperymenty i z państwowym kapitalizmem. Nie trzeba nawet daleko szukać.

Salazar, słusznie podkreśla fakt, że przywiązania do własności prywatnej nie da się wykorzenić z natury ludzkiej, a wracając do socjalizmu państwowego zauważa, że „ten właśnie ustrój, zachwalany jako postępowy, jest, mówiąc prawdę, idealnym systemem, schlebiającym wrodzonemu wszystkim ludziom pragnieniu wygody i biurokratycznemu obłędowi. Najspokojniej, najpewniej, najwygodniej żyje się na żołdzie państwowym, pobierając na początku każdego miesiąca swoją pensję i mając pod koniec życia zapewnioną emeryturę, której nie zagraża żadna ruina, ani bankructwo. Socjalizm państwowy to system *par excellence* mieszczański".

Salazar powiada, że nie chce sprowadzać życia społecznego do produkcji i utylizacji bogactw. Te niezbędne rzeczy powinny być wedle niego „skorygowane, dopełnione, złagodzone przez inną rzeczywistość: spokój, radość, szczęście, piękno rodzinnego życia, a wówczas będziemy mogli gardzić surowymi, sztywnymi formułami większej intratności z małej i wielkiej własności i wypowiadać się za polityką rozczłonkowania wielkich domen wiejskich oraz systematycznem tworzeniem małych, w których rodziny wieśniaków byłyby stanem posiadającym".

Salazar traktuje to jako klapę bezpieczeństwa przeciwko ideom rewolucyjnym.

Zaznajamiając czytelników polskich z niektórymi poglądami Salazara, nadmienić trzeba, że warto poznać całokształt poglądów dyktatora współczesnej Portugalii, żeby się zorjentować nie tylko w kryzysie demokracji, ale i w kryzysie dyktatury. W. T.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Henryk Życzyński. „Estetyka tragizmu". Tow. Przyj. Nauk w Lublinie. Pamiętnik Lubelski. T. III. Lublin 1937. Skład gł. w księg. Św. Wojciecha. Str. 32.

Autor daje tutaj żywy przegląd ważniejszych teoryj tragiczności u różnych krytyków, poczynając od Arystotelesa, oraz ustala zasadnicze warunki tragizmu, takie jak: sytuacja i charakter, wreszcie dotyka, choć może głównie z uwagi na istnienie pewnych kategoryj estetycznych, metafizyki tragedii czyli jej głębszego podkładu: idei religijno-filozoficznych.

Owo podniesienie do wyższego poziomu kategoryj estetycznych zwykłej ludzkiej reakcji na smutne lub gorszące nas wydarzenia w otaczającym świecie daje poczucie podboju rzeczywistości, rodzi się w duszy ludzkiej na wyższym poziomie kultury, bowiem — jak to rozumiał już Nietsche — tragedia przerabia okropność życia na wzniosłość, a jego bezsens na konieczność.

Bohaterowie tragedii dumne do końca niosą czoła, a właściwym ich upadkiem stać się może jedynie, nie katastrofa ale utrata przez nich właściwego charakteru: tragicznej wielkości. Zwłaszcza obserwujemy ten rys w sakralnej kulturze starożytnej Hellady, gdzie wstrząsające świętą grozą dzieje Edypa budziły wśród widzów nietylko „strach i politowanie" ale w równym stopniu cześć dla królewskiego starca, nie uległego najsroższym losom, w trzeciej części trylogii uzyskującego w nagrodę niezasłużonych cierpień niebieską szczęśliwość.

Podobnie i Antygona zwykłe przestąpienie praw państwowych podnosi, dzięki włożonemu w swój postępek gorącemu uczuciu siostrzanemu i specyficznej postawie herozmu, do godności wieczystego symbolu walki o świętość życia rodzinnego.

W tym miejscu należy się już liczyć z wkroczeniem na scenę czynnika Przeznaczenia: ono dopiero przetwarza psychologiczny, przypadkowy motyw walki wewnętrznej, na nieunikniony konflikt dwuch prawd czy równorzędnych obowiązków.

I otóż zwycięstwo jednej z nich w myśl zasady naturalnej słuszności, okupione największą ofiarą: życia lub zaparcia się siebie samego, stanowi o ostatnim składniku tragizmu—czynniku budującym: etosie.

Tak jest w wypadku tragizmu heroicznego. Nieco odmiennie rzecz się przedstawia gdy mamy do czynienia z drugą, diametralnie różną odmianą t. zw. tragizmem demonicznym. Wówczas to poprzez t. zw. *anagnorisis* czyli nagłe acy spóźnione przejrzenie bohatera, poznanie przezeń zasłużonego losu, poprzedzające zazwyczaj tragiczne *katharsis*, widz dostępuje wewnętrznego oczyszczenia, napięta atmosfera rozładowuje się, a strach i politewanie, jakie budzi upadek zbrodniczej wielkości, starczy za morał — i nie potrzeba nawet chóru, aby nam powyższe uczucia uświadomił.

Broszura H. Życzyńskiego jest i przez to ciekawa, że autor w swoich rozważaniach dopuszcza różnorodne literackie i społeczne aspekty podstawowego zagadnienia, nawiązując niekiedy w teoretycznych rozważaniach do bardziej nam bliskich akcentów życia praktycznego. (ST. J.)

*

Ks. dr. Jan Stepa. „Kuszenie nowoczesnego człowieka". Naczelny Instytut Akcji Katolickiej. Str. 96.

Szatan przystąpił do Chrystusa Pana i począł Go kusić, gdy Ten po długim poście był wyczerpany fizycznie. To nasunęło autorowi myśl, że sytuacja człowieka dzisiejszego jest podobna, bo jest on wyczerpany niedostatkiem gospodarczym. To go czyni naogół skłonniejszym do ulegania grzesznym pokusom. Warto się zastanowić nad nowoczesnymi środkami szatana i pomyśleć o zorganizowaniu osobistej i społecznej obrony.

Ale autor pojął swoje zadanie mniej, jak to się mówi, „życiowo", a zbyt filozofująco. Gdy czytamy o materializmie naszego człowieka i ks. J. S. wywodzi nam jego źródła od starożytnej filozofii greckiej, nie możemy, oczywiście, odmówić mu pewnej racji. Ale czujemy też odrazu, że czegoś w tym szkicu jest za dużo, albo czegoś brak. Oto przecenia autor wpływ naukowej filozofii na moralność całych społeczeństw.

Materializm moralny, praktyczny, czyniący najwięcej spustoszenia w duszach ludzkich, właśnie ten materializm spotęgowany przez kryzys gospodarczy — złowrogiego swego rozkwitu nie zawdzięcza chyba ani Demokrytowi z Epikurem, ani agnostykom, ani teoriom Marxa. Przyczyny materializmu i laicyzacji są raczej bezpośredniejsze i prostsze. Dużo tu złego robi głód, zwyczajny, nieumotywowany filozoficznie głód, brak najważniejszych środków do życia. Ludzie prości i szarzy nie słyszeli o przysłowiu *„primum vivere, deinde philosophari"*, ale jakże często postępują według tej tragicznej maksymy. Stanowiska filozofów można skrytykować i obalić. Ale głód pozostanie, a szatan spostrzegłszy to, przystąpi i będzie kusił człowieka.

Pozostańmy jednak w przedmiocie, omawianym przez autora. Tu trzeba sprostować pewne... nieporozumienie. Filozofia jednak nieraz traci dużo na publicystycznych uproszczeniach i ogromnie trudno ją rzetelnie spopularyzować. Niewiara agnostyków w moc rozumu?... Jest ta niewiara przecież tylko pozorna, każdy filozof wierzy w moc rozumu, skoro zajmuje się nauką. Wierzyli weń bodaj jednako i tomiści i kantyści, tylko jedni i drudzy, operując nim, do innych dochodzili wniosków. Oświadczenie, *ignoramus* a nawet *ignorabimus* co do pewnej dziedziny wiedzy wcale nie dowodzi rezygnacji z myślenia, jeżeli tylko jest uzasadnione. A co do uzasadnień, naturalnie—można się spierać. Nie obala się filozofów epitetami. Tym bardziej, że często tych samych filozofów niektórzy katoliccy myśliciele, zresztą dobrej

woli, oskarżają o... zbytnią wiarę w potęgę rozumu, we wszechmoc nauki.

Wracamy, ażeby zakończyć, do początku: powody ateizmu tkwią najczęściej w życiu osobistym człowieka, w jego przeszłości i psychice. Potem dopiero dorabia sobie „filozoficzne“ uzasadnienie do swego postępowania. Grzechy ludzkości, jak zawsze, tak i dziś, miały swe przyczyny w duszach, w wychowaniu, w stosunkach społecznych i politycznych. Filozofia odgrywa tu także swą rolę. Ale stanowiska filozoficzne wymagają obszernego i ścisłego omawiania. (VIR.)

*

F. Antoni Ferdynand Ossendowski. „Szanchaj“. Powieść współczesna, tomów 2. Poznań 1937. Wyd. Polskie.

Zbieg okoliczności sprawił, że ta dwutomowa powieść ukazała się, gdy powszechna uwaga zwraca się ku rozgrywającemu się na Dalekim Wschodzie widowisku. Autor długie lata przemieszkał w Azji. Patrzył na współzawodnictwo rządów Europy i Ameryki, na różnicę między starożytną kulturę Chin i młodą cywilizację Japonii, na pragnienia wielomilionowych ludów, Mongołów, Mahometan, Hindusów. Na bezkresnych obszarach Chin każdy z obcych rządów usiłuje wykorzystać zadrażnienia i kolizje między prowincjami chińskiej republiki i zdobyć „mandaty“ gospodarczego działania.

Spostrzeżenia swe poparł Ossendowski wiedzą naukową, znajomością różnojęzycznej prasy azjatyckiej i uwydatnił w swej nowej książce ciągły, „na ostrzu noża“ stan wrzenia, bezprawie, chaos, które, już samym swym tworzywem, dają posmak grozy i sensacji. Cóż dopiero, gdy w tym po przewrotach nie skleconym państwie weszła w grę świadomość niebezpieczeństwa i konieczności walki przeciw zbrojnym wrogom, przeciw komunizmowi i przeciw samemu sobie, bo Chińczycy, przesyceni mistycyzmem wysnutym z filozofii mędrców sprzed wieków, nie posiadają „poczucia czasu“, a i poczucia narodowości.

Nagle zbudzili się z letargu, nie mając wojska, wojska narodowego, tylko armie zaciężne, gotowe przejść pod komendę tego z „generałów“, który lepiej zapłaci, a wydatki odbije sobie konfiskatami i rabunkiem. Politycy czujący patriotycznie zapragnęli na gwałt jedności narodu, ku obronie, na którą już może zapóźno. Do tego walczyć im trzeba z epidemiami dżumy i cholery, nałogiem opium, zachłannością obcych kapitałów i nędzą, głodową nędzą ludu.

„Szanchaj“ to niejako pole doświadczalne myśli politycznej, ukazane w wizjach malowniczych i tragicznych. A na ich tle miłość dwojga emigrantów rosyjskich porywa i przykuwa uwagę czztelnika, aż do, mimo wielu przeszkód, szczęśliwego zakończenia. (A. W.)

*

Tadeusz Dołęga-Mostowicz. Znachor. Powieść W-wa 1937. „Rój“.

Z pośród powieści ryczałtem, może niezawsze z całą słusznością, zaliczanych do lżejszej lektury sensacyjnej, dodatnio wyróżnia się ostatnia książka autora „Kariery Nikodema Dyzmy“ i „D-ra Murka“. Zdolny ten, acz może niedostatecznie pogłębiony autor nie poszedł tym razem po linii najmniejszego oporu, obierając, owszem za cel interesujący problem psychologiczny i moralny.

Znakomity chirurg, dr. Rafał Wilczur pod wpływem wstrząsu, jakiego doznaje na skutek zdrady młodej i pięknej żony, traci pamięć przeszłości, nawet nazwiska (amnezja). Włócząc się w tym pożałowania godnym stanie po peryferiach Warszawy, zostaje napadnięty i obdarty ze wszystkiego. Zemdlonego i poranionego znajduje policja, a jakiś litościwy urzędnik obdarza paszportem na nowe nazwisko.

Nowe imię—nowy człowiek.

Wędruje on w poszukiwaniu pracy i dostaje ją na odległych kresach, gdzie w nowej roli parobka we młynie przepędza lat kilka do chwili, gdy widok nieszczęśliwego wypadku przy pracy każe się odezwać instynktowi zawodu lekarza—odtąd, jako, coraz głośniejszy, znachor, dokonywa prymitywnemi narzędziami nieraz bardzo skomplikowanych operacyj.

Traf chce, że dla uratowania ofiary katastrofy motocyklowej potrzeba zabiegu, który wprost nie da się pomyśleć, bez precyzyjnych narzędzi chirurgicznych. Wobec nadarzającej się sposobności znachor kradnie kasetę z instrumentami miejscowemu doktorowi, uchylającemu się od zbyt trudnego dlań i odpowiedzialnego zadania, ocala swą pacjentkę, ale niedługo potem dostaje się do więzienia za kradzież i niedozwoloną praktykę lekarską.

Wydostaje się, po paroletnim pobycie, dzięki procesowi i fachowej ocenie wypadku przez eksperta, który poznaje w znachorze swego dawnego profesora, zaginionego doktora Wilczura.

Happy end'em, odzyskaniem pamięci i córki (we własnej, świeżo uratowanej pacjentce) przez nieszczęśliwą ofiarę złych losów i ludzkiej złości, zamyka się wbrew dotychczasowemu zwyczajowi autora, powieść nabrzmiała od treści społecznej i zawiłych, niezawsze do końca rozplątanych zagadnień psychologicznych. (ST. J.)

*

O książce Brentano była swego czasu wzmianka w „Myśli“, jeszcze zaraz po jej ukazaniu się we Francji—może sobie ją nawet czytelnicy przypominają. Nie była ona dla książki surowa i w tej drugiej instancji recenzyjnej zaostrzyłbym znacznie wyrok. Dzieło Brentana nie jest dobre, bo autorowi brak wizji renesansu, nie umie go scharakteryzować i określić jego roli dziejowej, a w chwaleniu miłych sobie okresów historycznych jest naiwnie wprost nieumiarkowany i bezceremonialny, — daleko mu do taktu, siły dialektycznej i zręczności Gaxotte'a, którego śmiało można uznać, zwłaszcza po śmierci Bainville'a za najwybitniejszego z monarchistycznych historyków Francji.

Książka więc, jaką nam teraz dał „Płomień“ w dość okazałej szacie zewnętrznej—jest sama przez się nie nadzwyczajna i nie zasługująca na tłumaczenie, które zresztą dano takie, jakby ją chciano wręcz czytelnikowi obrzydzić. Mimo bowiem, że jest podpisana przez dr. Edwarda Boyé jeży się od błędów, nie chce mi się wierzyć, by rzeczywiście tłumaczył Boyé, chyba przez dobroć serca dał się wyręczyć jakiemuś pismakowi.

Żeby zabawić czytelników, przytoczę tu trochę owych kwiatków, — a więc: nazw geograficznych z reguły się nie tłumaczy, zostawiając nazwy francuskie zamiast polskich jak mi się wydaje—z prostej niewiedzy. Występuje więc arcybiskup z Mayence (Moguncji) prymas Niemiec; Karol V bawi w Anvers, zamiast w Antwerpii; Erazm z Rotterdamu mieszka w Bâle a nie w Bazylei; Gwizjuszowie panują w Lorraine a nie w Lotaryngii i tak bez końca. Mamy nawet Sawoję i sawojardczyków zamiast Sabaudii, i co jest już prawdziwą zgrozą Leutshau zamiast spiskiej Liwoczy, znanej choćby z „Białej Damy“ Jokaja. (ST. J.)

SPROSTOWANIE:

W nr. 40 str. 629 w „Wezwaniu z Paryża“ wypuszczono w przedostatnim wierszu wyraz: „skieruj“. Całość tedy powinna brzmieć jak następuje:

Zielona ciszo, łagodny wietrze
Przypłyń tu z Polski kiedyś wieczorem,
By z mego czoła kurz miejski zetrzeć,
Ucieszyć oczy od miasta chore.
Wznieś mnie obłokiem wysoko w górę,
Ponad ulicę w kamień zakutą,
Ku naszej stronie, skieruj jak chmurę,
I w zieloności Skurowa utop.

Wiktor Podoski

Nadszedł termin opłacania prenumeraty na kwartał IV-ty. Ponieważ „MYŚL NARODOWA“ jest wydawana wyłącznie kosztem prenumeratorów, więc prosimy Ich o nieodkładanie wpłaty. Prosimy przyjaciół pisma, aby propagowali je w kołach znajomych i przysyłali adresy tych osób, któreby mogły „MYŚL NARODOWĄ zaprenumerować.

Apelujemy też do wszystkich, którym na wydawnictwie zależy, aby pamiętali o konieczności zasilania „FUNDUSZU PRASOWEGO“ „MYŚLI NARODOWEJ“.

TEATR

„PRZYJACIELE"

TEATR Letni ma tradycję zaczynania sezonu bardzo ładnie, tylko później się zwykle coś psuje i poziom repertuaru stopniowo się obniża. Wtedy słyszymy zwykle, że winna jest publiczność, która „nie zrozumiała" i trzeba jej dać coś co zrozumie dla podreperowania wstępnej klapy. Udaje się to łatwo, bo chyba najpopularniejszy to teatr w Warszawie i ma swoich wiernych bywalców.

W tym roku mamy nową dyrekcję i początek ładny, jak trudno lepiej. Sięgnięto po najlepszą starą firmę krajową, tak niezawodnego Fredrę, i choć „Przyjaciele" nie należą niewątpliwie do najlepszych jego sztuk, to niemniej przedstawienie było nad wyraz przyjemne. Taka to piękna, szlachetna robota, czysta w rysunku, niezablagowana, a przede wszystkim o zdrowej atmosferze, pogodnej i czerstwej, wiejskimi rumieńcami zabarwionej. A jeżeli nieco naiwne i prymitywne wydadzą się typy ośmieszonych i niefortunnych zalotników: zbankrutowanego barona, z którego Grabowski zrobił kapitalnego tabetyka, i zarozumiałego bogacza tak dobrze uchwyconego w charakterze przez Karczewskiego, to trzeba powiedzieć, że wina to (jeżeli może być mowa o winie) właśnie owej kryształowej konstrukcji.

Jaki to majstersztyk roboty widzimy dopiero zastanowiwszy się trochę nad sztuką od strony warsztatu; jakiż śmiały naprzykład pomysł użycia Smakosza jako klamry każdego aktu tej farsy, w której cały czas mowa o miłości. Ów refren w postaci człowieka, który tak gorącym uczuciem pała jedynie do suto zastawionego stołu, obraca w żart całą sprawę, która inaczej możeby chwilami była dla farsy zbyt poważna. Tak zaś Romeo i Julia i tak wdzięczne ich nieporozumienia, tak wielkie trudy w kierunku wzajemnego odkrycia prostego przecież i bezgrzesznego afektu mają całą zabawność kochanków wylewających gorzkie łzy nad wstążką, którą jej ręce dotknęły, nie tracąc uroku świeżości jaki tylko prawdziwa młodość mieć może. Nareszcie następuje objawienie wielkiej tajemnicy, którą wszyscy już znają z wyjątkiem naprawdę zainteresowanych, a wagę wydarzenia rozumie nawet Smakosz, proponując uczczenie go jak potrafi najlepiej: obiadem.

Dopiero wychodząc z teatru zdajemy sobie sprawę jak dobrześmy się bawili, jak nowym i wdzięcznym efektem wydaje się wiersz i przeczysty język fredrowski — (niestety nie przez wszystkich należycie mówiony) i jak miłe wrażenie zostało nam po tym wieczorze. Przyczynili się do tego niemało aktorzy wśród których prym dzierżył Fertner debiutant w komedii Fredry, i napewno od wielu lat nie mający wiersza w użyciu na scenie. A przecież stara, dobra szkoła ma swoje znaczenie. Fertner i Grabowski mówili najswobodniej i grali najlepiej. Najgorsza była Zaklicka, zupełnie pozbawiona wurunków do bardzo trudnej roli Zosi. Wyróżniła się Gellówna, jeszcze raz dowodząc rzetelnego daru komicznego. Wcale dobre, szlachetne momenty miał Milecki, choć nie powinien tak akcentować średniówki, bo to zmienia Fredrę na katarynkę.

Przede wszystkim zaś zdała egzamin publiczność, która wielokrotnie przerywała sprawę oklaskami i sądząc z nastrojów premierowych powinna zapewnić sztuce powodzenie. Dla tego wymówki żadnej nie ma i liczyć należy, że teatr Letni po dobrym początku da dobry ciąg dalszy. I jeszcze raz powraca refleksja, że Fredrze należy się specjalny teatr. W Warszawie powinien powstać teatr Fredrowski.

A. M.

ZMARLI

Ś. P. JULIUSZ ZDANOWSKI

UBYŁ z szeregów najbliższych przyjaciół „Myśli Narodowej" ś. p. Juliusz Zdanowski. Śmierć zaskoczyła go w Krakowie, dokąd przywieziono go ciężko chorego po kuracji w Gestein.

Ś. p. Zdanowski był ziemianinem. W Miechowskim pod Krakowem miał majątek dziedziczny Śmiłowice. Tam się urodził w r. 1873. Kształcił się w Krakowie i zagranicą. Dobrym był gospodarzem, człowiekiem dużych zdolności i gruntownej wiedzy. Wybitnie aktywny charakter zagrzewany patriotyzmem uczynił z niego pierwszorzędną siłę społeczną, jako organizatora życia gospodarczego i przewodnika ideowego.

Należał stale do przodujących osobistości w Stronnictwie Narodowym i w tajnej organizacji Lidze Narodowej. Zanim się przeniósł na szersze pole działalności do Warszawy, wiele dobrego zdziałał w Miechowskim, jako organizator i kierownik życia gospodarczego. Zajmował potem wybitne stanowisko w Centr. Tow. Rolniczym.

Nieocenione były zasługi ś. p. Zdanowskiego w czasie wojny w dzielnicy pod okupacją austriacką. W październiku 1918 r. rząd polski mianował go Komisarzem generalnym na okupację austriacką. Wybrany w r. 1922 do Senatu był prezesem Klubu narodowego. Zajął potem stanowisko prezesa Związku Kas Komunalnych i Dyrektora Banku Komunalnego w Warszawie. Pracował tutaj do końca życia.

Ś. p. Zdanowski cieszył się powszechnym zaufaniem, uznaniem oraz powszechną sympatią. Był typem organizacji uczuciowej doprowadzonej przez głęboką kulturę umysłu i charakteru do równowagi z mądrością. Czyniło to ś. p. Zdanowskiego niezbędnym w pracy społecznej j pożądanym towarzysko. Był to człowiek dużej miary, niestety odsunięty po r. 1926 od wpływów politycznych, nie był przez państwo zużytkowany należycie. Teraz dopiero posłano mu na trumnę na cmentarz krakowski Krzyż komandorski orderu Odrodzenia Polski.

W szerokich kołach społeczeństwa polskiego wieść o śmierci ś. p. Zdanowskiego żałobnym rozległa się echem. Najbliżsi przyjaciele w obozie żegnają wiernego towarzysza z głębokim wzruszeniem.

— Niech spoczywa w pokoju!

NOWE KSIĄŻKI

Riabinin Jan. Materiały do historii m. Lublina, 1317—1792. Lublin 1938. Wydawnictwo Zarządu m. Lublina. Str. XXXIV i 212.

Osmańczyk Edmund. Wolność jest słoneczna Opole 1937. (Poezje).

Budzyński Wacław. Lufcik na świat. Pod znakiem nacjonalizmu. Warsz. 1937. Nakładem „Jutra Pracy" Str. 302.

Radziukinas Helena. *Artifex admirabilis.* Paul Valéry o sztuce. Lublin 1937. Str. 15. (Odb. z „Prądu").

Grudziński Jerzy. W obronie prawdy. Cieszyn 1937. Nakł. Dziedz. Bł. Jana Sarkandra. Str. 110.

Bączkowski Tadeusz. Na drodze do Damaszku. Łowicz 1937. „Polska Narodowa". Str. 63.

Ruch Literacki nr 5. Warsz. 1937. („Parnas Polski", Marszałkowska 110).

POKŁOSIE

HAZARD ZYSKUJE ŁASKI.

PODCZAS ostatniej sesji sejmowej jeden z niefortunnych posłów wyraził zdanie w celu dania najuboższej warstwie ludności sposobności do wypróbowania szczęścia należy oprócz istniejącej loterii klasowej wprowadzić w Polsce t. zw. loterię liczbową. Ostatnio znów ukazały się w prasie wiadomości, że dyrektor loterii klasowej p. Markus, udał się do Wiednia w celu przestudiowania owej loterii liczbowej, więc widocznie myśl jej wprowadzenia znajduje zwolenników. Ponieważ loteria liczbowa istniała przed wojną tylko w dawnej Galicji i jest na reszcie ziem polskich nieznana, należy podać o niej informacje, żeby opinia mogła się przeciw tej inowacji fiskalnej wypowiedzieć.

Najpierw na czym taka loteria polega? Otóż w „koszu szczęścia" jest 90 numerów (od 1 do 90) i przy każdym ciągnieniu, które odbywają się co tydzień wylosowuje się pięć numerów. Gracze mogą stawiać swe pieniądze (poczynając od 10 groszy) na pięć wybranych przez siebie numerów i otrzymują wygrane w wysokości zależnej od tego w jaki sposób owe wybrane przez siebie numery obstawili. Jeżeli gracz postawił na pięć numerów bez żadnych zastrzeżeń, to wrazie wylosowania jednego z tych numerów otrzymuje wygraną wynoszącą, zależnie od regulaminu, np. 10 razy więcej, niż stawka. Matematyczna szansa utrafienia na jeden z wygrywających numerów jest jak 1 do 18 (na 90 numerów wygrywa 5), więc loteria ma większe szanse, niż gracz. Ale gracz może zastrzedz, że dwa z obstawionych przez niego numerów wyjdą z koła (nazywa się to grać na „ambo") i wówczas, gdy jego przewidywania się sprawdzą. otrzymuje znacznie większą wygraną, bo wynoszącą kilkadziesiąt razy stawkę. Ale też szanse takiego wygrania są bezporównania mniejsze (matematyczna szansa od 1 do 324). Może dalej grać t. zw. „terno" t. zn. utrzymywać. że trzy z wybranych przez niego numerów wyjdzie i wtedy otrzymuje wygraną w wysokości parę tysięcy razy większą niż stawka. ale naturalnie niższą, niż wynosi matematyczna szansa takiej wygranej (od 1 do 822). Można też grać na „kwaterno" czyli zapowiedzieć, że wyjdą cztery numery z postawionych, albo na „kwinterno" czyli na wszystkie pięć numerów i wtedy dostaje się jeszcze większe wygrane, ale zawsze mniejsze, niż szansa matematyczna i na tym polega przewaga przedsiębiorstwa nad graczem. Są oprócz tego jeszcze inne kombinacje, jak stawianie na określoną kolejność wylosowanych numerów i t. d.

Loteria liczbowa jest rodem z Włoch, była tam już czynna oddawna, a w końcu w XVII i w XVIII wieku i we Francji, ale do ostatnich czasów przetrwała tylko we Włoszech i w Austrii, wszędzie jej zaniechano, gdyż uznano jej wpływ za zgubny. w Austrii i przed wojną parlament niejednokrotnie domagał się jej zniesienia, ale interesy fiskalne zwyciężały,

Zarzuty przeciw loterii liczbowej są zrozumiałe. Groszowe stawki wciągają najuboższą ludność, kusząc ją wysokimi w stosunku do ryzykowanych pieniędzy wygranymi. Te wygrane zdarzają się niezmiernie rzadko, ale to uświadamia sobie tylko publiczność inteligentniejsza i ta od takiej loterii stroni, natomiast ciemni biedacy stają się masowo ofiarami hazardu. Statystyka, ogłoszona swego czasu we Włoszech, wykazała, że najwięcej gra najuboższa Kalabria, najmniej zamożna Lombardia, a na południu stawka na głowę ludności wynosi 7 franków rocznie. Cyfry obliczone na głowę ludności nie dają należytego pojęcia o sprawie. Niemowlęta przecież nie grają. więc trzeba obliczyć na rodzinę, nie na głowę. Przy tamtejszych i licznych rodzinach wypadnie to co najmniej 35 franków na rodzinę, a ponieważ wszystkie rodziny jednak nie grają, to wyniknie, że najbiedniejsze rodziny znoszą do kas loterii po prawie 100 franków rocznie. Podatek, jeżeli jeszcze wziąć pod uwagę czasy przedwojenne — kolosalny.

Poza tym rozwija się jakaś zabobonna wiara w przepowiednie, prorocze sny itp. Tzw. Senniki Egipskie włączają do swych przepowiedni również loterię i pouczają, że jak się śni cesarz lub namiestnik, to trzeba stawiać na 25, a jak się śni garbus, to na 3 i tym podobne bzdury. Dawne pamiętniki francuskie opowiadając o tym, że mania gry opanowywała szczególnie kobiety i te uciekały się do pomocy najdziwaczniejszych wyroczni; tak np. odwiedzano wariatów w domach zdrowia i z ich majaczeń wnioskowano, na jakie numery stawiać. W Wiedniu przed wojną nie rzadko zdarzało się, że dozorczyni otwierając bramę wieczorem, a ujrzawszy nieznajomego, podsuwała mu woreczek z gałkami numerowanymi, prosząc żeby wyciągnął numery dla niej, bo gdy to zrobi nieznajomy „bronet" to przyniesie szczęście.

Taką oto wzbogacającą i kształcącą instytucją chcą nas obecnie uszczęśliwić. Wydać się to może nieprawdopodobne, ale po doświadczeniu z totalizatorem wyścigowym trzeba się mieć na baczności. „Zdemokratyzowano" przecież totalizatora, obniżono stawki do połowy, i „udostępniono" go wszystkim i z zabawy ludzi zamożnych zrobiono szulernię do zgrywania się biedaków.

To się nazywa demokracja.

ARGUS

NA MARGINESIE

Zygmunt Nowakowski w jednym z ostatnich feljetonów w „Il. Kur. Codz." opisuje wędrówkę swoją po klinice laryngologicznej uniw. Jagiellońskiego. Wycinamy tylko kilka wierszy z tej relacji Toż to *inferno* dantejskie:

„Cała klinika ma łóżek dwadzieścia trzy, na które wypada mniej więcej czterdziestu chorych. Więc np. w jedynej sali męskiej jest łóżek szesnaście i na tychże szesnastu łóżkach leży chorych... dwudziestu pięciu. Są to choroby z reguły ciężkie, nierzadko śmiertelne! Z dorosłymi leżą dzieci. „Na dokładkę", jak się to określa w tej klinice... Dzieci!!! Razem z konającymi... Pałace budujemy i... Psiakrew!

Oto nasza matematyka: szesnaście łóżek podzielić na dwudziestu pięciu chorych! Cóż za ułamki! A leżą tam i chorzy np. na dusznicę. Wyobrażam sobie, jak na ich samopoczucie działać muszą sufity, podparte drągami, niczem w kopalni, sufity, które zdają się walić na głowę".

Należałoby ten wycinek przykleić na marginesie opisu pałaców, które ostatnimi laty pobudowaliśmy, nieraz zbytecznych, nieraz przesadnie zbytkownych.

*

Niezdrowy jest taki system, który pozwala tylko wybranym mlaskać, a innym — tylko klaskać.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.